



<http://rcin.org.uk>

FAUSTYNA SWIDERSKIEGO

(Ex-Bociana)

PISMA HUMORYSTYCZNE

Zeszyt II.

CZĘSTOCHOWA.

Nakładem Juliana Fuchsa.

1884.

Cena kop. 50.

FAUSTYNA ŚWIDERSKIEGO

(Ex-Bociana)

PISMA HUMORYSTYCZNE.

Zeszyt II.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 22-63-63

CZĘSTOCHOWA.

Nakładem **Juliana Fuchsa.**

1884.

Cena kop. 50.



Дозволено Цензурою.

Варшава 24 Іюня 1883 года.

Egzemplarze, nie opatrzone poniższą pieczęcią, prawnie poszukiwane
będą.

W drukarni Kobna i Oderfelda w Częstochowie.

KALENDARZ Powszechny.

Wstęp.

Laskawi Czytelnicy! często się to zdarza,
Że człek nieraz wypali koncept z kalendarza,
Choćby czasem i nierad, choć niema ochoty,
Przepowiadać na nowiu zawieje i słoty.
Lecz radby z całej duszy, by nadeszła moda,
Aby na całym świecie jaśniała pogoda—
A ludzie między sobą, nigdy nierozdzielni,
Błyszczeli tak jak księżyc, kiedy świeci w pełni—
Ale cóż? — kiedy człowiek bez najmniejszej racyi,
Každy przychodzi na świat w innej konstelacyi,
I albo naprzód idzie albo rejteruje—
Więc szanowna publika laskawie daruje,
Że nieszczególny rymarz z pod ubogiej strzechy,
Gryzmoli wam kalendarz dla waszej pociechy,
I różne wam przedstawi w nim gwałtowne sprawy,
Byście mieli przy smutku, cokolwiek zabawy.—

I.

STYCZEŃ

Słońce wstępuje w znak Wodnika.

Wiedzą to bardzo dobrze tak starzy jak młodzi,
Że kiedy na rok nowy słońce jasno wschodzi,
Rozpuściwszy promienie od brzegu do brzegu,
Zabłyśnie dyamentem po niwach na śniegu,
To można się spodziewać, można mieć nadzieję,
Że wiosna wnet nadejdzie a ów śnieg stopnieje--
Ale trudno przewidzieć, trudno przepowiedzieć,
Słońce ani momentu, niechce w miejscu siedzieć.
I jak dobry zegarek ciągle się pomyka,
Wstępując z Kozioroźca, do znaku Wodnika—
Woda, rzecz wysmienita—woda trunek Boski,
Gdy człeka przesładują strapienia i troski,

To się wodą przeżegna — a gdy głód ubodzie,
To biedak skromny pokarm, ugotuje w wodzie —
Gdyby to wszystkie garnce, kwarty i kwaterki,
Kufle z bawarskiem piwem, z gorzałką butelki,
Znikły przed blaskiem słońca z winem i arakiem,
A słońce rozjaśnione pod Wodnika znakiem,
Dla wszystkich biednych ludzi i dla ich wygody,
Dało dostatek chleba i dostatek wody,
Byłoby wyśmieniecie . . . ale . . . niema racyi,
Byłby wielki upadek wszędzie w propinacyi,
Mógliby niejeden stracić zyski i wygodę,
Mogłoby ludzie wypić wszystkę w Styczniu wodę,
A słońce odbywając ruchy i obroty,
Mogłoby zaraz w Lutym umrzeć na suchoty—
Bo kozioł zeszłoroczny dużo wad zostawił,
Mało używał wody, pokarmów niestrawił,
Choć słońce z Koziorożca przechodzi w Wodnika,
Zastarzałych narowów — ciepłem nieprzenika. —
W Maju trzeba siec siana — w Sierpniu będą żniwa,
Bez wody, trudno zrobić mizernego piwa,
Choćbyś miał wielki zapas najlepszego siodu—
Żeby więc nieumarli Bawarczyzy z głodu,
Trzeba koniecznie wspierać dwory i pałace,
A zapraszając słońce, z sobą w ciężką pracę,
Trzeba mu konstelacyę stworzyć piwowara,
Aby była właściwą drogą jego stara—
Może się z tego zaćmi — lecz to nic nieszkodzi,
Wodnik znak piwowara pomału ochłodzi,
A czas, co nam tak prędko ucieka i znika,
Z piwowara znów słońce wprowadzi w Wodnika. —

Wszystko się między ludźmi jakoś dziwnie plecie,
Wszyscy pragniemy zysków na mizernym świecie,
Świat biedny — i my biedni — czy starzy, czy młodzi,
Tylko słońce przez wieki jednakowo chodzi,
Zjawia się w rannej porze a na wieczór znika,
Wszystko mu prawie jedno, czy w znaku Wodnika,
Czy w Baranie, czy w Raku, czy wchodzi w Niedźwiadka,
Zawsze nam pięknie świeci, do życia ostatka —
A świeci jednakowo poczciwie i jaśnie,
Nim się zaćmi zupełnie i na wieki zgaśnie,
Toć lepij, że mu człowiek za światło zapłaci,
Miłością dla swych bliźnich i swoich współbraci,
Ażeby, gdy znów wznijdzie po życia niedolach,
Gdy się razem zejdziemy w Elizejskich polach,
Z poczciwymi myślami — z spokojnem sumieniem,
Oświecało nas złotym i jasnym promieniem. —

Podług astronomicznych dokładnych obliczeń,
Słońce w znaku Wodnika widzi co rok Styczeń,
Jednak dla wielkich zysków i naszej wygody,
Niepragniemy zupełnie w tym miesiącu wody —
Tylko jak w karnawale — wino — trunek wszelki,
Wszędzie szum — chociaż bieda, strzelają, butelki,
Widzimy, że dostatek od nas *fugam dedit*,
Lecz choć pustki w kieszeniach, pijemy na kredyt —
Niejeden pan małżonek by niedostał w skórę,
Musi rychtować w Styczniu peruki, turniurę,
Starac się, by niewiasty z powagą i tonem,
Podłogi po salonach zmiatały ogonem,
A potem, jak post przyjdzie i skończą się skoki,
Żyd za procent z głów pustych, poobdzierał koki. —
Gdybyśmy się za ręce razem z słońcem wzięli,
I Rok nowy od wody wzajemnie zaczęli,
Toby i chłopiek może na weselne gody,
Maszerował wraz z słońcem w konstelację wody,
Możeby niebolały tak ich, jak nas głowy,
Rok dla nas rozpoczęty, młodziuchny i nowy,
Co nas dobrą nadzieją do głębi przenika,
Wstępując razem z słońcem w stary znak Wodnika,
Stały się może dla nas w żywocie osłoda,
I ochrzcił stare grzechy poświęconą wodą. —

.....
Niechże więc stare słońce starą drogą bieży,
Nam je w odwiecznej drodze wciąż wspierać należy,
By idąc w koło ziemi jednym zawsze torem,
Nadzieje porankowe, spełniało wieczorem —
A kiedyś, po przeżyciu, jak się prześni życie,
Gdy dla naszych potomków, zabłyśnie o świecie,
Niech nam ci na pochwałę wypalą oracyą,
Żeśmy ich wprowadzili w dobrą konstelacyą. —

II.

LUTY.

Słońce wstępuje w znak Ryb.

.....
Gdyby
Słońce niewstępowało w znak niebieski Ryby,
Tylko w Pannę lub Wagę, zwłaszcza w karnawale,
Może inny porządek byłby u nas wcale —
Możeby panie nasze, słońce oświeciło,
Mniej chęci do próżności i do zbytków było —

Żadenby się kawaler pewno nieodważył,
By widząc słońce w Wadze, on też posag ważył—
Ale darmo! — gdy wielki dróg niebieskich sternik,
Tak słońcu maszerować rozkazał Kopernik,
Czy to jest z dobrem naszym, czy nam to zaszkodzi,
Niechże sobie jak dawniej i dziś w Ryby wchodzi —

.....
Człowiek co światłoienne ujrzy pod tym znakiem,
Urodzony pod Rybą, niemoże być ptakiem,
Rzecz bardzo naturalna, bardzo oczywista,
Może być jaki taki z niego humorzysta,
Lecz poetą niebędzie, w żaden żywy sposób,
Prawda, że są wyjątki u niektórych osób,
Ale to bardzo rzadkie. — Malarzem niebędzie,
Pejzażystą być może — na obrazach wszędzie,
Będzie malował wody, obłoki i chmury,
Jeźliby się z portretem, chciał popisać który,
I nabrał do zarobku pod tym względem sztosą,
Portret będzie podobny, tak jak pięść do nosa —
Inni zwyczajni ludzie pod Rybą poczęci,
Mają różne zachcenia, rozmaite chęci,
Jeden będzie szczupakiem, choć ofiara zmyka,
On ją ściga uparcie, łapie i polyka —
Znajdzie się nawet czasem i ludojad haja,
Co gorszy od szczupaka, siły swe podwaja,
A chociażby ofiara ukryła się na dno,
On ją i tak wysłodzi i wkrótce dopadnie —
Dosyć także z pod Ryby ludzi w świecie siedzi,
Żeńskich, mężkich, mleczaków ikrzaków i śledzi,
Solonych, uwędzonych i marynowanych,
Nudnych i ziewających, wciąż — prawie zaspanych,
A choć się czasem który rozweseli niby,
To wszystko krótko trwałe, jak zwykle u ryby —
Są także urodzeni w Lutowe godziny,
Karasie i piskorze — miętusy i liny —
Jeden jasno połyska i hołduje cnocie,
Drugi choć świeci blaskiem, ale leży w błocie —
Wszystkie pod znakiem Ryby panienci i żony,
Lubią ciągle przypinać do sukien ogony.
I tak niemi jak rybki ustawicznie kręcić,
Żeby przecie mleczaka do siebie przynęcić. —
W lutym, każdego roku, sądząc rzecz po prostu,
Gdy jest pół karnawału a połowa postu,
Gdy jeszcze rok przestępny — racya z tąd wynika,
Że choć jaki Dobrodziej albo Dobrodziejka,
Wypali jakie głupstwo, albo co przeszkobie,
Będą mieli dość czasu pokutować sobie.

Niechajże będzie za to Panu Bogu chwała
Skoro wilk będzie syty i owieczka cała—
Takie są prognostyki w owe dnię bieżące,
Kiedy w znak Ryb już weszło stare nasze słońce,
Niechże Wam jasno świeci, w dzień w wieczór i z rana,
Dopóki znów nie wnijdzie w Marcu w znak Barana.
I uszczęśliwi wszystkich pięknem runem złotem,
Lecz do Marca daleko—zatem, o tem, potem.—

Jeszcze jedno *post scriptum* — starzy powiadali,
Że kiedy na Gromnicę niedzwiedź budę zwali,
To już zimy niebędzie — a jak ją poprawi,
To się zima nasroży i mróz się postawi—
Ale cóż u kaduka! — *Tausend Donner Wetter!*
Uciekł dziś z dawnych kniei stary barometer,
Bo w wyrąbanych lasach niema żadnej ciszy,
Uciekły z nich niedźwiedzie, zemkną nawet my-zy,
Niedługo za drugimi świnię zając kusy,
Jak wszystkie nasze drzewa, zabiorą zład prusy,
A rolnik będzie musiał cały dochód skupić
Aby mógł jak cynamon pniak u Niemca kupić—
O! mein lieber Augustin! będziemy śpiewali
I tak się wszyscy wyśpią, jak sobie postali—
Tak dzisiaj postępują wiejscy Dobrodzieje,
Każdy ścina i rąbie a żaden nie sieje;—
Chociażby się urodził człek pod znakiem Ryby,
I tylko w wodzie pływał—lecz przecie i grzyby,
I drzewo jest potrzebne—boć się może zdarzyć,
Że trzeba jaką rybkę usniętą usmarzyć,
Dodawszy na smak do niej uzbierane rydze—
Więc jedząc przy kominku po ciężkiej fatydze,
Dysponować gajowym aby siali lasy,
A nadejdą dla wnuków znowu lepsze czasy,
I nasi potomkowie dostąpią zaszczytu,
Że im będą smacznego życzyć apetytu,
A niebędą się na nas bardzo słusznie żalić
Że niemają biedaki, czem w piecu napalić.—

III.

MARZEC

Słońce wstępuje w znak Barana.

Chociaż dość niewłaściwie droga jest wskazana,
Że słońce w czasie postu wchodzi z Ryb w Barana,

Jednak, kiedy *post piscis*, Baran niezaszkodzi,
Gdy tak jest przepisano — niechże sobie wchodzi—
Baran—symbol pokory, symbol cierpliwości,
Niema w nim nienawiści, gniewu ani złości,
Daje ludziom wygody i zyski niezmierne,
Stróny, mięso, kozuchy, łój, skóry i wełnę,
Rzecz zatem naturalna, jasna przewidziana,
Że kto na świat przychodzi pod znakiem Barana,
Chociaż mu cały żywot jest ciężką fatygą,
Bo go wszyscy jak mogą ze wszystkich stron strzygą,
A każdy z upragnieniem czeka na godzinę,
By z Barana najprędzej spożyć skopowinę,
Jednak tu urodzeni, chociaż nieszczęśliwi,
Zawsze są dobrodusznymi i zawsze poczciwi—
Są tu prawda wyjątki, boć bez żadnej sprzeczki,
Jeżeli rogi wyrosną u cichój owieczki,
To nieraz barankowi porządnie dobodzie—
Zwłaszcza, gdy taki zwyczaj, kiedy to jest w modzie —
Baranki—wyjątkowo, kiedy konkurują,
Zwykle biją się z sobą i pojedynkują —
Jednak, bez krwi rozlewu—żaden z nich niezginie,
Bo sprzeczka się zakończy przy szampańskim winie—
Ostrzygą ich z honoru, szalbierze i franci,
Wypiją na rzecz zgody kielich sekundanci,
Baranki do owczarni w zgodzie powracają,
I jakby nic niezaszło, buzi sobie dają,
Chociaż na to złe Ryby, nawet Raki skrzeczają,
Baranki i owieczki, najcierpliwiej becują.—
W najskromniejszej pokorze, młodzieńcy, dziewice,
Słuchają kiedy owczarz naostrza nożyce,
Patrząc tylko na dzisiaj a nigdy na jutro,
Niedbają choć zimowe ukradną im futro—
Chociaż czasem baranek lub owieczka bodnie,
Ale żyją mniej więcej ze wszystkimi zgodnie.—
Poeta z pod Barana, z bardzo słusznej racy,
Ma wiele bujnych marzeń i imaginacy;—
Humorystą niebędzie — rzecz jest oczywista,
Ale z niego być może wielki romansista,
Bo w Marcu jak wiadomo, mamy zwyczaj taki,
Że ludzie i zwierzęta, gady, ryby, raki,
Gdy nadchodzi dnia z nocą zwykle porównanie,
Rozpoczynają zaraz, miłość i kochanie—
Malarz z znaku Barana, mając chwile śliczne,
Maluje sceny czułe i mitologiczne,
Doskonale przedstawia w obrazach baranki,
Pasterza grającego, dla swojej kochanki,
Tylko wszyscy przyznają bardzo oczywiście,
Że dopóki na drzewach niewyrosną liście,

Śniegi dma, wichry wieją nad polem i borem,
Pejżazystą niebędzie, pod żadnym pozorem. —
Bankiery i faktory — kupcy spekulanci,
Rozliczni przedsiębiorcy, wekslarze i franci,
Jeżeli się pod znakiem Barana urodzą,
Zwykle na spekulacjach swoich źle wychodzą, —
A to było powodem w Europie krachu!
Co tyle łez wycisnął i narobił strachu,
Pozbawiwszy majątków młodzieńca i starca,
Bo wszyscy spekulanci pochodzili z Marca —
I zamiast czule wzdychać — zamiast romansować,
Zaczęli strzydz kupony i procent rachować,
Chociaż winni pogardzać zatrudnieniem takim,
Skoro się urodzili pod Barana znakiem. —
Stara panna — kawaler w Marcu urodzony,
Gdy pierwsza niema męża a drugi znów żony,
Najczęściej nieboraki ciągle prawie płaczą,
I pędzą nudne życie z żalem i rozpaczą —
Choćby więc z miłosierdzia i właśnie dla tego,
Wszystkie wesołe Rybki co idą z Lutego,
Aby w Marcu kłopoty i biędę połatać,
Osmutniałych staruszków powinny wyswatać —
Interes pójdzie gładko — mając to na względzie,
Że się Marcak choć stary, opierać niebędzie,
I aby tylko prędko dać na zapowiedzi,
Obiecać trochę srebra na posag, lub miedzi,
Ucieszy się z pewnością biedaczysko stare,
Przypnie bukiet i żonie zaprzysięże wiarę. —

Mówią — gdy suchy Marzec a mokro znów w Maju,
Będzie można po życie chodzić jak po gaju,
Gdy słońca, zawierucha, w Marcu nas omija,
A stan powietrza dobrze ozimnie sprzyja,
Jeżeli w Maju przyniosą dość rosy bliźnięta,
To się dawniej stracone powrócą procenta —
Wspierając się wzajemnie z sercem zawsze szczerem,
Czy człowiek bratem łąką czy panem bankierem,
Zgadząc się z swym losem, położeniem, stanem,
Chociaż się kto urodził w Marcu pod Baranem,
Jak pójdzie z kapitałem czy z pracą uczciwie,
Przy zgodzie i ochocie, mogą żyć szczęśliwie. —

Mówi także przysłowie, że nie jeden starzec,
Pożegna się ze światem, gdy nadejdzie Marzec —
Lecz nie racja fizyka — często siwa broda
Włos też siwy na głowie — ale dusza młoda,
Co dawno zamieszkałszy, w pośród starych gnatów,
Niechce na żaden sposób iść do innych światów.

Spruchniałe, zwiędłe ciało do siebie przyciska,
 Niechając jeszcze opuszczać swego stanowiska —
 Lecz błędzić nienależy zarozumiałością —
 Dużo mamy dziś starców przed pełnoletnością,
 Choć niesiwych, lecz łysych, bez zębów, rumieńców,
 Marzec bywa najgorszy na starych młodzieńców, —
 Z tych to właśnie powodów, niechaj starcy młodzi,
 Będą, bardzo ostrożni gdy Marzec nadchodzi,
 A może słońce wchodząc po starym zwyczaju,
 Z powagą w Kwietniu w Byka, a w Bliźnięta w Maju,
 Oświeci nieostrożnych przed czerwcowym znakiem,
 Że człowiek w żaden sposób niemoże być rakiem. —

IV.

KWIECIEŃ.

Słońce wstępuje w znak Byka.

Pierwszego Kwietnia zrana, w sam *Prima Aprilis*,
 Kiedy Filon Filidę a Filona Filis,
 Podług dawnych zwyczajów jak może tak zwodzi,
 Słońce w Byka z Barana z wielką pompą wchodzi —
 Jasne swoje promienie rzuca na świtanie
 Sądząc, że lepiej będzie w Byku jak w Baranie —
 Jednak pierwszego Kwietnia zwodzenie fatalne,
 Sprawia, że dni najpierwsze, wszystkie są feralne,
 Na mocy przytoczonych wyżej argumentów,
 Najgorsze dla kochanków i dla konkurentów,
 Od Hugona Biskupa aż do Celestyna —
 Dla tego konkurować niech nikt niezaczyna,
 Póki ósmego Kwietnia, do nas się nie zbliży,
 Podług praw kalendarza Biskup Dijonizy —
 Bo choćby miesiąc zaszedł i psy się pośpiły,
 I klaskał pod jaworem biedny Filon miły,
 Zimno mu było w głowę, ręce, plecy w pięty,
 Jeżeli będzie goły jak turecki święty,
 Filida do Filona nieprzyjdzie ku drzewu,
 I próżno będzie czekał biédak na *rendez-vous*. —
 Lecz w kim jest czułe serce i poczciwa dusza,
 Zawrze związki małżeńskie na Apoloniusza,
 Temu z wszelką pewnością, całe życie, wszędzie,
 Radość, szczęście, pomyślność, towarzyszyć będzie —
 Spełnią mu się życzenia i dojdzie do celu,
 Będzie miał przy dostatkach i przyjaciół wielu. —

Człowiek, co się urodzi pod tym nieba znakiem,
Zwykle pomimo woli, bywa zawadlakiem,
A to z tego powodu, że Byk zawsze bodzie,
A gniew ma familijny, w całym swoim rodzie —
Krówki, jako samiczki są więcej swobodne,
Więcej ciche, spokojne, skromne i łagodne,
Co dzień w zgodzie wesoło na pastwisko dają,
Nigdy ich na łańcuchach do żłobu niewiążą;—
Gdyby więc starą drogę słońeczko zmieniło,
A na Kwiecień nie w Byka lecz w krowę wstąpiło,
Możeby złagodniały trochę obyczaje —
Ale cóż?— czasem krówka mało mleka daje
A bardzo głośno ryczy — racja ztąd wynika
Że trzeba pozostawić system Kopernika.—
Literat lub poeta, zrodzeni pod Bykiem,
Pierwszy, może być bardzo dobrym historykiem,
Drugi, choć się wciąż gniewa a nigdy nieśmieje,
Może jednak napisać wielką epopeję —
Humorystą niebędzie — bo chociaż się sili,
Dowcip jednak swój zbliża ciągle do paszkwili,
Nie raz jest z tych powodów dość gniewu i płaczu —
Może pisać z korzyścią ale w *Kladderadatschu*,
Bo się tu powodzenia niemoże spodziewać,
Bo się nasz humorysta niepowinien gniewać,
Taki bowiem warunek u nas jest konieczny,
Że dowcip być powinien, poczciwy, serdeczny —
O malarzach kwietniowych trudno marzyć w głowie,
Mogą sobie malować, ale w Częstochowie,
Złotem, ugiem, cynobrem, walać swe paznokcie,
I sprzedawać obrazy, lecz tylko na łokcie,
Rozdawać je wieśniakom dla wiecznej pamięci,
Choćby się rozgniewali o to wszyscy święci,
Że zamiast wapno gasić i smarować ścianę,
Sprzedają bohomazy strasznie ubabrane.—
Wszyscy prawie mężczyźni zrodzeni pod Bykiem,
Choć straszą swych współbraci hałasem i krzykiem,
I nie jeden wypali choć na cel niebierze,
Są z nich jednak waleczni i dzielni żołnierze —
Damy z tego miesiąca — ale tylko czasem,
Pragnąc niezależności, chcą zaśpiewać basem,
Ale w końcu, na cienkim kończą wijolinie,—
Lecz temu znak niebieski winien jest jedynie,
Bo słońce wchodzi w Kwietniu w zgniewanego Byka,
Nie wina zatem niewiast — ino Kopernika.—

.....
Ponieważ wszystkim śledziom rzekliśmy dobranoc,
A żywot się naprawił wszystkim na Wielkanoc,
Niem mało znikło kielbas, szynek i ozorów,

Porterów, win, bawarów, araku, likworów,
Gdysmy zjedli mazurki, placki, jaja, baby,
Za te więc dobrodziejstwa, koniecznie trzebaby,
A mianowicie na wsi starannie się kręcić,
Żeby pracą usilną święcone uświęcić —
A tak przy skromném życiu dobrze się obliczać,
By wydać tylko swoje a nic niepożyczać, —
Gdy się razem zejdziemy z Izraelitami,
A święta wielkanocne mają razem z nami,
My gryziemy kiełbasy, oni sobie mace,
Można lichwie zaśpiewać — „*quiescat in pace*” —
Gdy się zmniejszą z tych przyczyn wysokie procenta,
Będzie piękna pogoda na żydowskie święta,
Niebędzie narzekania, złorzeczenia, krzyku,
Chociaż słońce w złośliwym siedzi teraz Byku —
Czasem się słońcu przykrzy, w takiej roku porze,
Zwłaszcza jeżeli rolnik nie sieje, nie orze,
A opuściwszy ręce, płacze i narzeka,
I biédak ze łzą w oku na czas lepszy czeka —
Zawsze jednak od Stwórcy pociechę odbiera,
Bo On choć łzy wyciska ale je obciera
A każdego rolnika jedynie wzbogaca,
Z dobrą w Bogu nadzieją — modlitwa i praca,
Chociaż ona zbyt przykrą, ciężka długoletnia,
Ale — siedź w Byku słońce! — aż do końca Kwietnia,
Ogrzewaj nam zasiewy po starym zwyczaju,
Dopóki w znaku Bliźniąt, niezaświecisz w Maju.

V.

M A J.

Słońce wstępuje w znak Bliźniąt.

Nasiedziawszy się dosyć w Byku i Baranie,
Zaraz pierwszego Maja na samo świtanie
Sprzykrzywszy sobie słońce złośliwe zwierzęta,
Porzuca je z ochotą i wchodzi w Bliźnięta —
Znak to piękny, wspaniały, miłości i zgody,
Braterstwa, niewinności, wiosennej swobody,
Tam więc, gdzie bratnia miłość i cnoty niegasną,
Słońce rzuca promienie przyświecając jasno,
A tam, gdzie ludzie gardzą miłością wzajemną,
Zakrywa chmurą tarczę i na ziemi ciemno —
Byk zgniewał widać słońce stawiając się groźnie,
Bo często bywa w Maju i zimno i mroźno —

Ale to nic nieszkodzi, bo chociaż niestety!
Później włożą wiosenne, damy toalety,
Lecz słońce niepopępia najmniejszego grzechu,
Bo później czupiradła pobudzą do śmiechu, —
Jeszcze się o bliźniętach nikomu nie śniło
Jeszcze słońce w Wodniku albo w Rybach było,
Jeszcześmy się wozili saniami po grudzie,
Już nad wiosenną modą, rozmyślali ludzie —
Wśród poważnych rozmyślań i szczerój ochoty,
Nie mając co lepszego nigdy do roboty,
Tak jak i ci, co idą za poważną radą,
I do czarta podobne szmaty na się kładą,
Aby zyskać grosz z głupstwa — z zasady, że modne,
Dają nam stroje drogie, śmieszne niewygodne. —
Księżyc, towarzysz ziemi z białą swoją głową,
Co się wciąż za nią włóczy jak ciele za krową,
Pędząc z nią, wkoło słońca — nigdy nierozdzielni,
Zaraz w pierwszych dniach Maja, okaże się w pełni —
Przeszedłszy pierwszą kwadrę i kwadrę ostatnią
Jakby chciał towarzysza ścisnąć ręką bratnią.
Jak nam o tem wzmiankują wszystkie kalendarze,
Po ostatnim znów Maja, twarz w pełni pokaże —
Dobry znak — słońce świeci pogodnie i jasno
Księżyc także z ochotą chce dać pomoc własną,
Więc chociaż wszyscy krzyczą, czas ciężki i bieda!
Przy takim oświeceniu, czek się biedzie nieda —
Tylko zawsze rozważa — że tylko wzbogaca,
Na tym płaczu padole, modlitwa i praca,
A przy słońcu, księżycu niech każdy pamięta,
Że winniśmy się kochać, wszyscy jak Bliźnięta. —

.....
Człowiek, co przyjdzie na świat z Bliźniętami w Maju,
Kocha bliźniego swego, po starym zwyczaju, —
Jeżeli jest lirykiem, myśl swą rozkołysze,
Chociaż zwięzłe i krótko, lecz serdecznie pisze,
Bo wiemy o tem dobrze, że każdy rok z wiosną,
Myśli zacne, poczciwe, w piękne słowa rosną. —
Jeżeli humorystą a zwłaszcza polakiem,
Może być bardzo dobry zrodzon pod tym znakiem,
Wyrzeczonych słów swoich nie będzie się wstydził,
Będzie się śmiał z wad braci, ale z nich nieszydził —
Artysta bywa dobry urodzony w Maju,
A choć na biednym świecie niebędzie miał raję,
Będzie miał dość przeciwnych i niechętnych głosów,
Spójrzy jednak sumiennie na pracę z niebiosów.
Bo poczciwój zasłudze błogosławić raczy,
A on, zrodzon w Bliźniętach, swym bliźnim przebaczy —

Bankiery, pany, kupcy, zwykle ludzie chciwi,
Jeśli się rodzą w Maju, zawsze są poczciwi,
Bo słońce, co im świeci na ziemię w Bliźnięta,
Woła na nich: — „najlepsze są małe procenta!”
A księżyc szepcząc pacierz, jak za panią matką,
Potwierdza słońca zdanie — mówiąc bardzo gładko;
Że w wszystkich spekulacyach winno być przyjęte
Zdanie słuszne, poważne — „Wciąż *festina lente!*”
Bo człek idąc powoli w pierwszej żyć kwadrze,
Jeśli na bliźnich swoich swych rogów niezadrze,
Toć bardzo naturalnie że z nim nierozdzielni,
Podniosą go wysoko — kiedy będzie w pełni —

.....
Jeszcze małe *post scriptum*, w naszym zimnym kraju,
Siejemy różne kwiaty i sadzimy w Maju,
Niechże sobie łaskawie każda z dam pamięta,
Że kwiatki bardzo lubią młodziuchne dziewczęta,
Patrzą w utwór natury, co bawi urokiem,
Prędzej główki ozdobią kwiatkiem — niżli kokiem —
Niechże raczą szanowne bony, ciocie, matki,
Kiedy słońce w bliźniętach, sadzić różne kwiatki,
Będzie to strój dla dziewcząt, bardzo naturalny,
A skutek gdy podrosną, bardzo kapitalny. —
Ojcowie, co na skibę z wiarą i nadzieją,
By zyskać chleb powszedni, ziarno w ziemię sieją,
Jako dobrzy, poczciwi i prawi Polacy,
Niech dadzą dobry przykład z ciężkiej w roli pracy —
Choć będą ogłoszone, w Łowiczu czy Żarkach,
Niech z synami nie jeżdżą próżno po jarmarkach.
Notabene, z lokajem, stangretem, karetą,
Bo synek zachęcony tak miłą podnieta,
Zamiast zyskać dla siebie co z pisma lub książki,
Pojedzie na owsisko albo na powązki. —
Dni trzydzieści i jeden, niech każdy pamięta,
Słońce będzie przyświecać, wszedłszy w znak Bliźnięta,
Niechże jasno w niebieskim przyświeca nam znaku;
Aby znów, kiedy w Czerwcu pokaże się w Raku,
Człek miłość dla swych bliźnich w swej duszy zachował
Z wiarą, szedł śmiało naprzód a nie rejterował.

VI.

CZERWIEC

Słońce wstępuje w znak Raka.

Ani w pięć — ani w dziesięć — jednak wola taka,
Że słońce po Bliźniętach maszeruje w Raka —

Niech sobie i tak będzie — lecz cóż u kaduka!
Po co sobie tak dziwnych zmian po drodze szuka?
Gdyby to zrobił Jowisz? — Księżyc Satelita,
Niechby tam sobie w Raku siedzieli i kwita —
Ale jasność poważna? — po Bliźniętach znaku?...
Dalibóg niepojmuję w Czerwcu słońca w Raku —
Bo to dziwne stworzenie — zawsze, tyłem chodzi,
Czerwienieje po śmierci, choć się czarnym rodzi,
Chociaż u nas u damy albo u młodzieńca,
Za życia dostajemy raka lub rumieńca —
Z takich ważnych powodów — świadczę się przed Bogiem,
Choćby stary Ex-Bocian został Astrologiem,
Używał astronomii, chemii i fizyki,
Na nie się nieprzydadzą wszelkie prognostyki —
Bo się mogą niesprawdzić — wnet się fałsz pokaże,
Jaki zawsze spotyka wszystkie kalendarze,
Które robią rolnikom pogody nadzieje —
Kosi biédak pszenicę — a deszcz tydzień leje,—
No! — ale trudna rada — rozważywszy bacznie
Że możemy kalendarz prowadzić dwóznacznie,
I mogą być w nim czasem zrobione poprawki,
Gryzmolę go na Czerwiec dla waszej zabawki.—

.....
Jak mówiłem Rak dziwny — ciągle tyłem chodzi,
Więc kto się pod tym znakiem wypadkiem urodzi,
Kroku naprzód nie ruszy, choćby chciał próbować,
Musi więc całe życie zawsze rejterować —
Żołnierz, gdy się urodzi w nieszczęśliwym Raku,
Nie będzie towarzyszem pancernego znaku —
Idźmy dalej — mężczyzna albo też niewiasta,
Urodzeni pod Rakiem, ze wsi albo z miasta,
Muszą się gwałtem cofać — inaczej nie można,—
Dama, chociaż spokojna, skromna i pobożna,
Kiedy się urodziła w takiej konstelacyj,
Rejteruje z powagą do emancypacyj —
Jakieś dziwne zachcenie po głowie się roi
O froncie zapomina a tylko tył stroi —
Niechby go tam stroiła, siedząc na swych śmieciach,
Ależ przeciw powinna pamiętać o dzieciach,
Które, gdy urodzone są pod innym znakiem,
Niemogą w żaden sposób chodzić za nią rakiem —
Tylko naprzód, poczciwie do życia ostatka,
A drogoskazem dla nich, powinna być matka
Pójdą po drodze życia godnie i szczęśliwie
Jeśli ją matka wskaże zacie i uczciwie.—

.....
Malarz albo literat w Czerwcu urodzony,
Musi się biédak bronić wciąż na wszystkie strony,

Bo choćby chciał iść naprzód — powie mu krytyka
Że stworzony pod Rakiem, ciągle w tył umyka —
Bięda, więc bardzo wielka — Czytelnicy mili!
Dla tych, co się pod Rakiem w Czerwcu urodzili —
Ale . . . jeszcze pytanie? . . . ciał niebieskich sternik,
Nieśmiertelny astronom szanowny Kopernik,
Kiedy wprowadzał słońce, w Czerwcu w znak nam znany,
Czy Rak nie był wypadkiem już ugotowany? —
Bo na ten czas, my wszyscy, czy wielcy, czy mali,
Jako ugotowani, w miejscu byśmy stali,
Každy by w swej pozycyji usilnie pracował,
Możeby nie szedł naprzód, lecz nie rejterował --
A choćby stojąc w miejscu pozycyji nie zmieniał,
Aleby się za błędy jak Rak nie czerwieniał —
Jeżeli była wola Kopernika taka,
To niech słońce przyświeca, chociażby i z Raka,
A może nam niedługo rozweseli twarze,
Jak się w Lipcu wspaniale w znaku Lwa pokaże. —

Jeszcze małe *post scriptum* — rolnicy niejedni,
Może z własnej ochoty, może z nieszczęść biedni,
Chociaż pewno usilnie o to się starali,
Grochu, owsa, jęczmienia dobrze niedosiali —
Choć więc mówi przysłowie: — „Kto sieje tatarkę,
A na nieszczęście swoje, ma żonę Barbarkę,
I nędznemi krowami biedną ziemię orze,
To bardzo nieszczęśliwy — pożal go się Boże —”
Ale można poprawić położenie nasze,
Lubią w mieście i na wsi tatarczaną kaszę,
Więc jak ją zasiejemy na Święty Antoni,
Jak pan Bóg od nawałnic i gradu obroni,
Toć bardzo naturalnie, można z dobrą miną,
Karmić się i rodzinę kaszą ze słoniną —
A dokończywszy resztę odgrzanym bigosem,
Chociaż na to niejeden, będzie kręcił nosem,
Co woli jakieś ryby z rzeki Misissipi,
Lub ostrygę z cytryną co jak ją jesz skrzypi,
Ale jeżeli się zjawią pustki w portmonecie,
Będzie bigos smakował ludziskom na świecie. --

W dziewięć dni po Antonim, nadchodzi Jan Święty,
Zaczynają się różne szacherki, wykrety,
Nie jeden mądry faktor choć zrodzony w Raku,
Nic na to nie uważa i grzmi do ataku —
Bo tylko ci faktorzy idą naprzód jedni,
A ciągle rejterują wszyscy ludzie biedni —
Každy z nas, bratniej ręki uścisku unika,
W najmniejszym interesie pragnąc pośrednika,

Do najmniejszej umowy wybiera na posłów,
Szalbierzy, spekulantów, oszustów i osłów
Co biorą godzących się pod ścisły examen,
Niechże się z Rakiem cofną,—co daj Boże!— Amen.

VII.

LIPIEC

Słońce wstępuje w znak Lwa.

Tandem tedy—gdy słońce wyszło przecie z Raka,
Kiedy jest wola wszystkich astronomów taka,
Że jednakową drogą ciągle postępuje,
Niechże sobie na Lipiec w znak Lwa maszeruje—
Z największą wspaniałością siłą i odwagą
Lew bowiem słynie w świecie mocą i odwagą—
Można być prawie pewnym, że słońca promienie
Dadzą lepsze jak w Raku w Lipcu oświetlenie —
Dość jest w świecie dandysów i lafirynd znanych,
Od lwa niewiem dla czego legitymowanych,
Zwanych lwami, lwicami, na wsi jak i w mieście,
Nierozumiem dla czego—bo czemużby wreszcie,
Gdy chęć ród wyprowadzić od zwierzęcia wzrosła,
Gdy od małpy pochodzi, czemuż nie od osła?
Kiedy lwów o dwóch nogach mówiąc sercem szczerem,
Usposobienia równe z osłów charakterem.—
Ale wróćmy ze słońcem do dawnego znaku,
Bo i ono nie lubi siedzieć we lwie w fraku,
I pewnieby zakryło tarczę swoją chmurą,
Widząc lwicę z ogonem, kokiem i turniurą,
Które kiedy w młodości nie ćwiczyły matki,
Wartoby jak zwierzęta powsadzać do klatki,
A zebrawszy z stron wszystkich samce i samice,
Rozwozić w menażeryi w różne okolice.—

Z przytoczonych powodów, co się pod Lwem rodzą,
Pod dwoma postaciami na ten świat przychodzą,
Postępują raz prosto, to drugi raz krzywo,
Jedni śmiało z powagą potrzásają grzywą,
Drudzy czy źli, czy dobrzy, kuse kurty kładą,
Smarując gęste kudły fiksem lub pomadą.
Lecz gdyby lew wspaniały ujrzał takie pary,
Z pewnościąby od wstydu zmykał do Sachary,
A z żalu i boleści, że w nim duma twarda,
Żeby mu w łeb wypalił, prosiłby Gerarda —

Z bardzo słusznych powodów z sprawiedliwej racji,
Bo djabli z takiej sprawy i legitymacji,
Gdy jego imiennicy co tu spacerują,
Nie lwy, lwice—lecz mały ciągle naśladowca.—
Opiekunowie rodzin, ojcowie i matki,
Winni w Lipcu zrodzone strzedz najpilniej dziatki,
Niesprowadzać choć moda francuza lub niemca;
Bo się młodym dzieciakom w głowach poprzekręca,
I pomimo fatygi, kosztów i mitręgi,
Nie lwy powyrastają, tylko niedołągi.—
Póki jeszcze niewielkie — nim dojdą do wzrostu,
Ubierać dzieci zgrabnie, lecz skromnie po prostu,
A przez dobre przykłady i właściwe mowy,
Nie ubierać im skóry, tylko stroić głowy,
Bo to rzecz najważniejsza - inaczej Lipczaki,
Niebędą warte w świecie i niucha tabaki.—

.
Malarzowi, poecie, całkiem nic nieszkodzi,
Gdy się na swoje szczęście w Lipcu pod Lwem rodzi,
Zawsze śmiało, z powagą spogląda w niebiosy,
A chociaż nosi zwykle bardzo długie włosy,
Strój strasznie zaniedbany i niezbyt poważny,
Ale to nic nieszkodzi—bo jak lew odważny—
Maluje, pisze śmiało, o nic się niepyta,
Warto patrzeć na obraz—lub słuchać jak czyta,—
Adwokat tu zrodzony, jest śmiały i prawy,
Nieweźmie pod obronę nigdy krzywej sprawy,
Na żaden wykręt prawny djabeł go nieskusi,
Każe sobie zapłacić—lecz obronić musi—
Doktór tak samo czyni—nigdy niewybiera,
Czy biedny, czy bogaty—ospa czy cholera,
Czy febra, czy gorączka,—czy tyfus, czy plika,
Wypełnia obowiązki prawego medyka,
Niedba czy mu się sypią grosze, czy dukaty,
Wraca zdrowie z ochotą w pałace czy w chaty.—
Tak samo i niewiasty w Lipcu urodzone,
Niespoglądają w przyszłość lecz w czasy minione,
Synom i córkom swoim dobry przykład dają,
Idą naprzód z rozumem—z głupstwem się cofają.—
Gdyby tak rzeczywiście tu na ziemi było,
Niechby się niewiast w Lipcu najwięcej rodziło,
Bo pod takim kierunkiem pod znękanę strzechy,
Bógby z niebios udzielił, łaski i pociechy.—

.
Jeszcze małe *post scriptum*—każdy mówią skrzeczy,
O ką, który zamieszkał i o swoje rzeczy—
Jako więc zamieszkały od dawna na roli,
Wiem co komu dolega—wiem co kogo boli,

Więc nie jako wyśmiewnik, lub jaki oszczerca,
Lecz tak po staropolsku z uczciwego serca,
Radzę, by nie tak robić jak za króla Sasa,
I całkiem niepopuszczać, lecz przyciągać pasa —
Zwłaszcza, kiedy przednówek zwykle przed żniwami,
A może się też Stwórca zmiłuje nad nami,
Widząc, że się do pracy każdy z chęcią stawia,
Ucieszy się z ochoty i pobłogosławi,
Tak panom jak i paniom—jeżeli *notabene*,
Stracą spazmy grymasy, kwasy i migrenę,
A zajmując się szczerze pomyślnością chaty,
Odpędzą z marzeń zwykłych, od Penkali szmaty
Które się na wsi zdadzą tylko psu na budę —
Wprowadzą w dom swobodę, wykorzenia nudę.
Niechęć z tego wynikną i domowe kwasy,—
Wtenczas—można być pewnym przyjdą lepsze czasy,
Pocieszą się rodziny domowym spokojem,
Jak obydwójce państwo, przestaną na swoim,
A urodzeni w Lipcu, pod pięknym Lwa znakiem,
Będą jak Lew poważni a niepójdą z Rakiem.—

VIII.

SIERPIEŃ.

Słońce wstępuje w znak Panny.

Szanowne czytelniczki!—wdowy, panny panie!
Wiem, że mi najlaskawiej potwierdzicie zdanie,
Bo gdy słońce stać będzie w Sierpniu w znaku Panny,
To Herminie, Klotyldy, Klary, Wandy, Anny,
Nie Ryszardy, Alfonsy, Jacki i Michały,
Jasne promienie słońca będą oświecały—
Z tych tak ważnych powodów panowie darujcie!
A kiedy słońce w pannie cicho sobie stojcie,
Zachowując spokojnie należną powagę,
Dopóki słońce w Wrześniu niewnijdzie znów w Wagę. —

.....
Gończe złotego słońca! różanna jutrzeńko!
Co zaglądasz codziennie w mój chaty okienko
Ty coś u mnie pod belką zlepiła gniazdeczko,
Staranna o swe dziatki czuła jaskółeczko,
I ty ranny skowronku! co wesół i żywy,
Tak ślicznie wyśpiewujesz nad polskimi niwy.
I zachęcasz do pracy od samego rana,
Raczie wesprzeć łaskawie starego Bociana!—

Niechże jakiego bąka w swych rymach nie palnie,
Niech przeprowadzi grzecznie i ceremonialnie,
Jaskrawe nasze słońce, co świeci niewiastom,
W znaku Panny—pałacom, chatom, wsiom i miastom. —

• • • • •
O! mein lieber Augustin!—każdy walca dryga,
Huku, szumu dość wszędzie, choć w kieszeni figa,
Wiedzą o tem ludziska, nawet wszyscy Święci,
Żeśmy z tego co mamy, nigdy niekontenci,
Choć mówił Kochanowski—„Ten pan zdaniem mojem,
Kto przy pracy, modlitwie, przestaje na swoim”—
Lecz żaby dobrej rady nigdy niepojmują,
I nadstawiają nogi kiedy konia kują.—
Z tych to właśnie powodów i z tój pewno racyi,
Dążycie z pustką w głowie do emancypacyi.—
Ztąd ciągle narzekania, na zbyt ciężkie czasy,
Ztąd niechęć, brak swobody i domowe kwasy,
Narzekania na ludzi—nawet na niebiosy,
Ztąd na kwintę u wszystkich pospuszczane nosy—
Mann muss leben—jak mówią,—*und soll leben lassen,*
Lecz—*lieber unser Herr Gott, muste uns verlassen,*
Und giebt tüchtige Schmerzen, und Ruthen, und Peitschen
Weil die Polen so gehen, wie gehen die Deutschen.—
Chociaż mówi przysłówie, jak stoi świat światem,
To niemiec polakowi nigdy nie był bratem;—
Choć się polak nadymał i grał rolę zucha,
Lecz niedbał o strój skóry i napchanie brzucha;
Nad ślimakiem, ostrygą zawsze kręcił nosem,
Żyjąc, jak człowiek żyje, zrazem i bigosem,
Niesłuchał, choć kazały dawne *Hic-mulierey,*
Odmawiał Ojczyznę—nasze, nie Vater-unsery —
Nie szwajcarskie, francuzkie lub niemieckie śmieci,
Ale Kaśki, Barbary najmował do dzieci,
Co chociaż tam niewiele, może i umiały,
Lecz przecie wykarmiły i wypiaستowały,
Kasztelanów, poetów, hetmanów i posłów.
Nie takich jak dziś bony, wisusów i osłów.—
Ex re więc tych powodów, należy koniecznie,
Stanąc w linii bojowej silnie i bezpiecznie,
A podług praw natury, rozwagi, sumienia,
Pocziwie deptać kółko swego przeznaczenia,
Aby w następcach naszych, niepobudzić śmiechu,
A przez to niepopęlnić, śmiertelnego grzechu.—

• • • • •
Nieszczęśliwi mężczyźni co się w Sierpniu rodzą,
Muszą być pod pantoflem i w szlafmycach chodzą,
Czy to więc będzie malarz, czy biedny poeta,
Zawsze go za nos wodzi, przez życie kobieta—

Chociaż nawet świat cały artyzmem rozczuli,
Pogardzi nim rodzina, jak niema koszuli —
Jak nieprzypnie na rozkaz koka lub ogona,
Pogardzi nim na końcu, nawet własna żona —
Hrabia, baron, szlachetka, spekulant czy kupiec,
Artysta czy poeta — uczony czy głupiec,
Czy żyje specjalami, czy barszczem z kartoflem,
Kiedy w Sierpniu zrodzony, siedzi pod pantoflem —
Więc o nich niema mowy, módlmy się ze łzami,
Niech się przecie zmiłuje Pan Bóg nad negrami,
Niechajże się raz skończy handel niewolników,
Co tyle w Ameryce zrobił wojen, krzyków,
A który postępową mądra Europa,
Proteguje u pana, mieszczańska i chłopa —
Gdzie pomalu znikają poczciwość i cnota,
A człowiek się sprzedaje, za nędzną garść złota, —
Głupiec — za lichy kęs — łzami oblewany,
Pozwała, by czas długi, wciąż był zabijany,
Jakby mu dobrodziejka niezrobiła łaski,
Uderzeniem raz pałką i rozbiciem czaszki. —

Kaśka, Baśka, Urszula, Magda lub Gertruda,
Kiedy w Sierpniu zrodzone, wyprawiają cuda,
I zawsze z pieśnią w ustach, z sierpem w silnej dłoni,
Przy pracy i robocie, jedna drugą goni —
A śpiewając wesoło dana moja dana!
Zadowolnić potrafią pana i plebana —
Zaś Herminie, Klotyldy — to znowu rzecz inna,
Może czas zbyt gorący — może która winna,
Bo choć mają przed sobą do żniw wielkie pole,
Ruszają się do pracy — tak jak muchy w smole —
Chociaż je napędzają sąsiadki, sąsiedzi,
Żadna, ani się ruszy — tylko w miejscu siedzi,
I martwi się okropnie od rana do zmroku,
Że jęć się jakieś węzły porobiły w koku,
Że chociaż jeszcze młoda, przystojna i gładka,
Niemoże paradować tak jak jęć sąsiadka,
I niemoże tak stroić chłopców i dziewczynek —
Ale niech będzie temu wieczny odpoczynek,
Niech się już raz przewali ów ciągły certamen,
A niech się głupstwo skończy — co daj Boże! — Amen! —



IX.

WRZESIEŃ.

Słońce wstępuje w znak Wagi.

*Ganz richtig! und verständlich — tausend Donner! Wetter
Steht gut — wie in Preusen unser Barometer,*

Bo słońce ku jesieni niebędzie nas prażyć,
Będzie można uczucia i dochody ważyć,
A przy zuchwałej minie nadętej powadze,
Możemy wiele zyskać, kiedy słońce w Wadze —
Akurat jak u Niemców — kładziemy na szale,
Na nic i na nikogo niezważając wcale,
Przewielebny egoizm — ciężki tak jak skała,
Ażby druga szala w górę poleciała,
A my siedząc na pierwszej z zachceniami swemi,
Niedbając że nasz bliźni niedostąpi ziemi,
Cieszymy się serdecznie, że wisi wysoko,
Na biedę nieboraka, przymróżamy oko
I zatykamy uszy — a właśnie dla tego,
Że każdy z wielką pompą mówi sobie — *Ego!* —
Ganz richtig und verständlich! — zażyjmy tabaki —
Tak robili i robią rozsądne prusaki,
Gdy który po tabace chociaż słabo kichnie,
Drugi mu choć nieszczerzy komplement wystrychnie
I życzy bardzo głośno, wszelkich pomyslności,
Choćby mu z wielką chęcią pogruchotał kości. —
Ty! u nas na prowincyj potrawo jedyna,
Co cię każda potrafi przyprawić dziewczyna,
A dodawszy szczypiorku, masła lub słoniny,
Może uroczyć gościa nawet w imieniny,
I niejedni zgłodniali tobą się zachwyca,
Niedaj się przetłomaczyć polska „*Jajecznicę!*”
Niech sobie wszyscy Niemcy co w sąsiedztwie siedzą,
Ulubiony egoizm, łyżką nawet jedzą,
Niechaj go swoich bliźnich przyprawiają łzami,
Ty nasza jajecznicę! zostań zawsze z nami. —

• • • • •
Jeżeli się kto, w Wrześniu pod Wagą urodzi,
Niebędzie z niego nigdy łaskawy Dobrodziej,
Bo wszyscy tu zrodzeni, czy młodzi, czy starzy,
Każdy na swoje conto, tylko sobie waży,
Pomimo bardzo czułych serdecznych uniesień,
Wszyscy patrzą nie w serce ino w pełną kieszeń,
I dla tego Wrześniaki zajęte kieszenią,
Bardzo prędko się znajdują i z sobą pożenią. —

W pożyciu, są ciekawi, spokojni, ostrożni,
Nadzwyczajnie oględni — okrutnie pobożni,
Klepiąc swój *Vater-unser*, proszą w nim nie jedni,
Z wielką bardzo pokorą o swój chleb powszedni,
Zawsze jednak z dodatkiem i z jaką okrasą,
Na prowincyj z bigosem, szynką lub kiełbasą,
Zaś znowu wyżej stojąc z dochodami w mieście,
Z minogami, ostrygą lub z czemś z mięsa w reszcie,
Aby tylko przechodząc na ziemi męczeństwa,
Mogli siebie nakarmić dobrze — z nabożeństwa —
A jeżeli biedakom także żyć potrzeba,
To niech sobie wzdychają jak oni do nieba. —
Rzecz bardzo naturalna — bardzo oczywista,
Że zrodzony pod Wagą pisarz lub artysta,
Choć mu praca niejedna może się wydarzyć,
Zmuszony wszystko bardzo skrupulatnie ważyć
Patrząc jak gwichty stoją z jego własną pracą,
Mierzone łokciem słowa, jak nakładcy płacą
Czy mu tam z honorarium co grosza nieutną,
Czy wróci się wydatek na farby i płótno?....
Z tych to właśnie powodów, ta racja wynika,
Że nie raz znosić muszą, nagany krytyka
Co im nie raz ostremi słowami zaszkodzi,
Jeżeli się tak jak oni w Wrześniu nie urodzi —
Bo jeżeli krytyk Wrześniak i z pod Wagi znaku,
To na swojego drucha niezrobi ataku,
I tak, jak było dawniej, jest i będzie w modzie,
Z wzajemną adoracją będą żyli w zgodzie. —
Wszyscy inni ludziska co się w Wadze rodzą,
Z łokciem, kwartą lub wagą dla swych zysków chodzą,
Z których każdy sam siebie i rodzinę żywi,
Choć mierzą skrupulatnie — lecz są sprawiedliwi —
Żaden zbyt niestrychuje kwarty albo ćwierci,
W funcie dla lżejszej wagi dziury nie przewierci,
A chociaż mały sklepik, co w nim biedę klepie
Lecz łokieć taki długi, jak i w dużym sklepie —
Prawda, że jako Wrześniak o sobie pamięta,
Lecz waga sprawiedliwa, u niego rzecz święta,
Powierzonego grosza uczciwie pilnuje
Powróci go w terminie i niezbankrotuje —
Kiedy więc każdy prawy i sumienny taki,
Niechże się rozmnażają, z pod Wagi, Wrześniaki. —

.

Jeszcze małe *post scriptum* — dobrze o tém wiecie,
Że w Wrześniu u nas na wsi, już po żniwach przecie,
A co Bóg dał — w stodole, stercie albo stogu,
Przednowek się przewalił — Cłwara Panu Bogul

Oziminy nie wiele — jarzyny nie wiele,
Nienależy więc pasa popuszcząć zbyt śmieło
Nieszumieć, niehałasieć i nie wołać *hopsa!*
Gdy grochu bardzo mało i nie wiele owsa —
Bo gdy jeszcze zawiodą kapusty, ziemniaki,
To nos spuści na kwintę, w krótkce jaki taki,
I *clapsit Gloria mundi!* — próżno będziesz beczał,
Jak Mosiek z komornikiem zawołają — „*bezahl!*”

Ej! ty — chudą fornalką, gdzie pędzisz sąsiedzie?
Czy cię pilny interes do miasteczka wiedzie?
Czy rozigrawszy myśli używasz swobody
A niechcąc już pić w domu tak jak kaczką wody,
Włożyłeś kilka rubli w kieszeń w kamizelkę,
Aby u Dancygiera wychylić butelkę?
Wstrzymaj się mój sąsiedzie! w takim wielkim pędzie,
Miejże przecie w przyszłości przednowek na względzie,
Bo może wielki ciężar spaść na nasze barki,
Niema grochu, jęczmienia, owsa i tatarki,
A chociaż dosyć ziarna cepami wybito,
Nie zastąpi jarzyny, pszenica i żyto. —
Nawracajże sąsiedzie! — przecież dziś w Warszawie,
Myślą dla nas na serjo o wielkiej wystawie,
Dają na to pieniądze, starania, fatywę —
Cóż im tam pokażemy? — czy w kieszeniach figę?....
Za co jaki krytykus mości dobrodzieju!
Wyśmieje nas — napisze — że nam brak oleju?! —
Że przekładając zawsze cielesną wygodę,
Mamy wciąż żółto w dzióbach, tak jak wróble młode? —
Wstrzymajże się sąsiedzie!

Czytelnicy moi!
Pan Dancygier przed handlem, już z ukłonem stoi —
A winka, ma niezgorsze — powiadam wam szczerze,
Ponieważ Ex-Bociana także chętna bierze,
A wszystkie ślepowrony, półkozice Gryfy,
Nigdy nieukładają wydatków taryfy —
Więc w sekrecie przed żoną, zaprzęga mój Marek,
Wymykam za sąsiadem cichutko do Żarek —
Pogadamy cokolwiek, krzepiąc siły lura,
Trochę *de praeterito* — trochę *de futuro*,
Humor będzie weselszy i rozmowa gładka —
Jak słońce w Październiku wnijdzie znów w Niedźwiadka,
Bez wezwań niepotrzebnych — krytyk i hałasu,
Pomyśleć o wystawie — dosyć będzie czasu. —

X.

PAŹDZIERNIK.

Słońce wstępuje w znak Niedźwiadka.

Gdyby astronomowie mieli to na względzie,
Że kiedyś kalendarze Bocian pisać będzie,
A nie mogąc na Parnas ani kroku ruszyć,
Będzie musiał nieborak dobrze łba nasuszyć,
Aby myśl z dobrą werwą wyszła tak jak z płotka,
Słońca by nie wsadzali w jakiegoś Niedźwiadka —
Bo kiedy były Ryby, Lew i Baran z Bykiem,
Toć byłoby właściwiej, więcej z lepszym szykiem,
Większa słońcu wspaniałość i większa parada,
Ażeby w Październiku nie weszło w owada,
Tylko prosto w Nieźwiedzia — błąd to jest niezmierny,
Kalendarz Ex-Bociana byłby nieśmiertelny,
Rym daleko wspanialszy — bo pomyślicieź sobie!
Co ja z takim Niedźwiadkiem w Październiku zrobię?
Co z postaci obrzydły a ma tyle jadu —
Jeżeli więc nie będzie w kalendarzu ładu,
To nie moja w tém wina przyznacie panowie!
Nie Ex-Bocian tu winien — lecz astronomowie. —

.
Urodzona pod znakiem brzydkiego Niedźwiadka,
Czyli młoda, czy stara — wdowa czy mężatka,
Czy żyje z ciężkiej pracy, czy grosz w kabzie dusi,
Jeżeli niema męża — ludzi kasać musi —
Tylko wtenczas spokojność przy takiej kobiecie,
Gdy umęczona gniewem, zaśnie sobie przecie —
Jeżeli ci się zdarzy miły czytelniku!
Słyszeć gniewy, przekleństwa, moc wrzawy i krzyku,
Drżą kominy w pałacu — lub trzęsie się chatka,
To tam pewno przebywa jejmość z pod Niedźwiadka. —
Kamerdyner czy lokaj, — fernal czy pastucha,
Choćby chciał gniew przetrzymać i udawać zucha,
Musi zmykać nieborak z duszą swą i ciałem,
Niedosłużywszy czasu, jeszcze przed kwartałem —
Panny czy pokojówki — kucharki z dziewczkami,
Podaną sobie strawę przyprawiają łzami —
Gęsi, kaczki, koguty, kury i indyki,
Jak tylko wrzask usłyszą i jejmości krzyki,
Woły, krowy, barany, owce, psy i koty,
Zmykają jak przed wilkiem, przez rowy i płoty —
Nawet słońce z wysoka spoglądając na to,
Niegryjeje zagniewane — choć to Babskie lato —

A mąż?... Boże zmiłuj się!... nieszczęsna istota,
Niemogąc się odprawić albo dopaść płota,
Boć się słowo przysięgi przy ślubie wyrzekło,
Całe życie na ziemi musi znosić piekło. —
Mężczyźni urodzeni pod Niedźwiadka znakiem,
Idą tą samą drogą i tym samym szlakiem,
Tylko wrzeszczą donośnie — mówiąc tu nawiasem,
Nie jak damy dyskantem, tylko silnym basem. —
Jeżeli się przytrafi na skaranie Boże,
Że się złączą niedźwiadki w chacie lub we dworze,
Niechże człowiek spokojny to miejsce omija,
Bo tam się nieobejdą bez miotły i kija —
Uczone guwernery — zagraniczne bony,
Niech na gwałt umykają w swe rodzinne strony,
Można bowiem zaręczyć, że niedadzą rady,
Widząc bowiem dzieciaki, tak dobre przykłady
Choćby chcieli naukę, osłodzić, ozłocić,
W miejsce podziękowania — mogą ich wygrzmocić. —

.

Nie wszystko jednak prawda co kalendarz gada,
W pogodę przewidzianą — deszcz ulewny pada,
Prognostyk się nicuje, całkiem w drugą stronę —
Mówią — „*Nulla regula sine exceptione*—”
Mogą żyć najspokojniej nawet Niedźwiadkowie,
Mogą mieć dobry przykład ich córki, synowie,
A chociaż się oboje rodzą w Październiku,
Mogą życie przepędzić bez kłótni i krzyku —
Jednak niech postępują ostrożnie w tej mierze,
Bo mówią — „Strzeżonego zawsze Pan Bóg strzeże—” —
Poeci i malarze lub inni artyści
Niemogą tu być dobrzy — za to humoryści,
Wyborni — znakomici — mianowicie w prusach,
Humorysta Niedźwiadek — w kilku śmiałych susach,
Zawsze, głodny i chciwy, chcąc dogodzić sobie,
Ani się niespodziewiesz — jest z jadem przy tobie —
Jeżeli mu nie zapłacisz talarem haraczu,
Ukłuty jadownicę — zginiesz w Kladderadatschu —
U nas przy ukąszeniu możesz być bezpieczny,
Bo choć czasem ugryzą „Kolce” lub „Świąteczny”,
Choć niekiedy zabrzęczy rozdasana „Mucha”,
Ale zaraz w Niedźwiadka powróci znów skrucha,
Chociaż zada ci ranę — wnet ją sam wyleczy,
Na takiej stopie u nas, stać powinny rzeczy,
Tak było, jest i będzie w Polsce oczywiście
Dobre serce być winno — w dobrym humoryście! —
Bo jeżeli Niedźwiadek jad kładzie do strzelby,
To musiał przywędrować z nad Sprei lub Elby —

Niechże nosa niewtrąca, kiedy niedał grosza,
Najlepsza na to rada — artykuł do kosza!
Bo chociaż się straszymy wzajemnie „Kolcami”
Serdeczna jednak zgoda — winna mięszkać z nami. —

Jeszcze małe *post scriptum* — właśnie babskie lato! —
Stawiają lny, konopie i miadłą przed chatą,
Wzięły się do roboty Kaśka z Magdą szczerze,
Aby mieli koszule Jacki i Kaźmierze, —
Nawzajem Jacek, Kaźmierz, w tójże samój porze,
Dla Kaśki i dla Magdy pod ziemniaki orze,
Tak się jakoś dokładnie w szyku ustawili,
Że się bez żadnych rozpraw równouprawnili,
Prawda — że baby miadłac, chłopcy siejąc żyto,
Ubrani są oszczędnie — bardzo *incognito*,
Ale proszę zobaczyć w święto lub niedzielę,
Kaśkę, Magdę, Kaźmierza i Jacka w kościele,
Jak wyszytą kierezią sążniście zawali,
Lub jak Kaśka zawiesi sześć nitek koralu,
Co je ma w swojej skrzyni, jeszcze po prababce,
Jak to Kaźmierz wygląda z pawiem piórem w czapce?
I jak sobie hulają wesoło i żwawo,
Można im powinszować — można krzyknąć brawo!...
Nam, bo takiej swobody odmówiły nieba,
Nas w teatrze żywota wygwizdać by trzeba,
W naszych myślach i czynach wciąż łatamy dziury,
Wołaliśmy przed laty — „Bierzcie przykład z góry!”
Lecz dzisiaj sprawiedliwie sądząc bez mozołu,
Mogą na nas zawołać — „Bierzcie przykład z dołu!”
A pewno będzie lepiej — znikną nudy, kwasy,
Powiekszą się dostatki — przyjdą lepsze czasy,
Nie będzie tyle kwasów, żalów i goryczy —
Czego wam stary Bocian, z całej duszy życzy —
Na tem kończę kalendarz na miesiąc Październik,
Ponieważ w Listopadzie rozkazał Kopernik,
Słońcu zaświecić w Strzelcu — panowie i pani!
Proszę was na przekąskę i na polowanie —

XI

LISTOPAD.

Słońce wstępuje w znak Strzelca.

Przyszła zima — z nią nudy — by rozerwać chwile
Dotrzymać przyrzeczenie i *verbum nobile*.

Bez najmniejszych wykrętów, bez żadnej wymówki,
Biorę się do kożucha i do dubeltówki —
A kiedy słońce w Strzelcu, panowie i panie!
Proszę was na przekąskę i na polowanie —
Lecz państwu dobrodziejstwu z góry proponuję,
Bo tu na wsi jak wiecie zima nieżartuje,
Koki, fioki, ogony, krótkie kurty wasze,
Pozostawcie w Warszawie — bo tu w strony nasze,
Kto z stolicy przybywa, by chodził bezpiecznie,
Musi się gwałtem ubrać jak człowiek, koniecznie —
Bo jakbyście przybyli wystrychnięci z szykiem
Wasze uszy i nosy — zmarzłyby pewnikiem. —

.....
Szanowni moi goście! — raczcie mi darować,
Żem wam smacznej przekąski niemógł przygotować,
Wiejskie nasze potrawy — tłusty indyk z sosem,
Befszyk z tartym ziemniakiem albo zraz z bigosem,
Sosy licho przyprawne octem i karmelem,
Bo u mnie dobrodziej! — Kaśka Bouquerelem,
Wicek kamerdynerem a lokajem Grzela,
Co się wtenczas wystroją, jak gość — lub niedziela,
W dniu poprzednie zaś pędzą żrebaki na paszę —
Ale — co długo gadać? — Zatem — w ręce wasze!
Rekomenduję dobrą, zdrową piolunówkę,
Która możeby paniom zawróciła główkę,
Więc jest tu na rozkazy, słodziutki i zdrowy,
Fabryki mojej żony, likier malinowy —
Raczcie bez ceremonii przekąsić do syta,
A potem — jak to zwyczaj — znów *bis repetita* —
Dzień krótki — z tej przyczyny, by nie tracić czasu,
Dubeltówki na ramię i proszę do lasu! —

.....
Raczcie zabrać łaskawie swoje stanowiska,
Niech każdy dookoła bystrym wzrokiem ciska,
Broń dobrze zaopatrzyć i dobrze celować,
Niespieszyć się z wystrzałem, bo można spudłować —
Bacność! — słychać Zagraja — najlepszy z mej psiarni,
Tak jak amen w pacierzu, trafił na trop sarni —
Pilnuj! — goni na oko! — poodwodzić kurki!
A po cóż pan u diabła mierzysz do wiewiórki?
Z takiej głupiej zwierzyny nie będzie pociechy,
Kręci tylko ogonem i gryzie orzechy —
Dla ciebie kawalerze zysk to bardzo marny,
Poczekaj z wystrzeleniem — Zagraj goni sarny —
A pani u kaduka czem znów zniewolona,
Że celujesz na drzewie głupiego gawrona?
Co siedzi napuszony z osowiąłą miną,
Zwierz taki nie dla ciebie — kochana dziewczyno!

Całemu polowaniu popsulabyś szyki,
Poczekaj! kiedy Zagraj trafił na sarniki —
No!... sarny idą na sztych — teraz — w Boga wierzyć
Chłopaki i dziewczęta pomału wymierzyć!
I palić!— będzie dobrze — takie moje zdanie,
Uda wam się zupełnie wasze polowanie,
Sarny, to nie gawrony; to zwierzyna inna,
Jest tam w nich czułe serce i miłość rodzinna,
A w naszej ukochanej praocjów krainie,
Możecie się wyżywić, przy takiej zwierzynie —
Więc ognia! wszyscy razem — zwijajcie się żwawo —
Trafiłiscie? — wybornie — szczęść wam Boże!— brawo!—
Uwaga!— słyhać Śpiewkę -- lisa pewno goni,
Ukręć się za drzewami, co żywo do broni!
Bo to majster nie lada — wnet sobie pomoże,
Jak tylko wiatr nie dobry, to was okpić może —
Lecz stać cicho, spokojnie mieć dobrze nabite,
Wycelować i palnąć a odwali kitę —
Bo to szelma i oszust — mądry łapikura,
A chociaż tam jest na nim jaka taka skóra,
Ale mięso paskudne — a czoło wytarte,
Oprócz futra z łez bliźnich — wszystko djabła warte —
Więc dobrze się przyczaić — wycelować razem,
By złodziejstwo i zdzierstwo, nieuszły mu płazem —
A pani w co znów mierzysz?— wielka szkoda prochu,
Toć to borsuk zaspany wylaźł sobie z lochu,
Akurat, tak jak wasze miastowe próżniaki,
Co niewarte na świecie i niucha tabaki,
Co tylko patrzą w gardło i żołądki swoje —
Po co strzelać w borsuka, psuć próżno naboje?
Po co się fatygować, po co w niego mierzyc,
Dosyć tego nieuka kolbą w łeb uderzyć,
A zaraz się przewróci bez krzyku i pisku,
Zostawiając swą skórę, bardzo nędzną w zysku, —
Dla czego pan stanąłeś tak przy sośnie blisko,
Kiedy tam założyły mrówki swe siedlisko?
Mogą pana poszczypać — broniąc ciężkiej pracy,
Bo to zuchy nie lada — równi i jednacy,
Patrz pan, jaka tam u nich harmonja ogólna,
Jakie zyski zbierają — bo praca ich wspólna,
Brzydkiego egoizmu zupełnie nieznają,
Wspólnie wszyscy pracują — wspólnie się kochają. —

.....
Słyhać Lutnię z Trębaczem — trafiły na kota —
Rozstawcie się po drodze jeżeli ochota,
Niebędziecie na niego bardzo długo czekać,
On tu wnet pomknie z krzaków i będzie uciekać.

A położywszy na grzbiet, długie swoje słuchy,
Mysząc o swojej skórze — na perswazje głuchy,
Przestraszony ogarów szczekaniem i krzykiem,
Będzie zmykał jak dłużnik wasz przed komornikiem —
Co to ciągle w Warszawie dość natłucze bruku,
Nie mało choć spokojność zrobi huku! puku!
A jak przyjdzie rozprawa, uszy na kark kładzie
Mysząc nie o ataku, lecz o rejteradzie —
I tak samo jak zając, rozmyśla jedynie,
By mu było spokojnie i cicho w kotlinie
Zresztą, go nic zupełnie w życiu nieobchodzi,
Niech bieda wszystkich męczy, gdy jemu nieszkodzi —
Palcie w łeb! — zyski z niego będą oczywiste,
Z mięsa będzie potrawka i dobre pieczone,
Skóry, niewielka wartość, niewielka zaleta,
Jak z każdego takiego tchórza i faceta, —
Ogary się zmęczyły — są bagna za lasem,
Gdy się spotkać pragniecie z kaczką lub bekasem,
Z gęsią albo ze słomką, więc na zakończenie,
Wyżeł mój na usługi — proszę uniżenie,
Niebędzie może wiele ztąd zadowolenia
Boć i w mieście bez sprzeczki i bez zaprzeczenia,
Ciagną słomki po bruku, zawsze dniem i nocą,
Z niemi kuse bekasy, djabli wiedzą po co?
Gęsi, kaczek, gąsiorów, zakład tu postawię,
Macie sto razy więcej, jak u mnie na stawie —
Ale, niechaj się liczba tego ptastwa zmniejszy,
Przekręćcie dubeltówki, wsypcie śrót drobniejszy,
I skończcie polowanie zacni goście moi! —
Bacność! -- wyżeł coś zwietrzył — bo jak wryty stoi. —

Przepraszam najserdeczniej, żem was źle zabawił,
Żem wam zbyt może małą polówkę wyprawiał, —
Wilki dopiero przyjdą w Lutym na Gromnice; —
Gdybym mieszkał w Australii, Azji lub Afryce,
Na większą bym się pewno wysadził zabawę —
Tam by można ogromną urządzić obławę,
Na szakale, lamparty, węże, krokodyle,
Możnaby tam nie jedną spędzić miłą chwilę, —
Naprzywozić skór dobrych z małp, lwów i niedźwiedzi,
A chociaż ich i u was dosyć w mieście siedzi,
Znają ich — stara gwardja — młoda kawalerja, —
Lecz że na wsi zbyt rzadko bywa menażerja,
Niebędzie z tych powodów wielkiej satysfakcyi —
Kochani moi goście! — proszę do kolacyi,
A za szczerą gościnność i za polowanie,
Raczie wspomnieć choć czasem — o starym Bocianie. —

XII.

GRUDZIEŃ.

Słońce wstępuje w znak Kozioroźca.

Mój ty stary Pegazie! — niepytaj choć gruda,
Może się dokończenie kalendarza uda,
Chociaż niemasz podkowy a jeździec w szlafmycy,
Gdy się jednak ucieszą nasi czytelnicy,
Bo to zacni, łaskawi i poczciwi ludzie,
Jedźmy w Grudniu jak można, chociaż i po grudzie —
Jest to prawnym zwyczajem poetycznych osób,
Lecz Muz wzywać niemożna w żaden żywy sposób,
Boć i one w Olimpie mają pracy nawał,
Adwent na dokończeniu, zbliża się karnawał,
Te, co mężów nie mają gdy czas taki prędki,
Muszą dla ich złowienia wyręchtować wędki —
Te, co znów mężów mają, chociaż bronią bogi,
Gdy słońce w Kozioroźcu, fabrykują rogi,
Bo bez nich, niewłaściwie i nieładnie wcale,
Dla męża, tak w adwencie jak i w karnawale —
Zatem, darujcie Muzy! że przy końcu roku,
Szumne do was wezwanie, zostawiam na boku,
Bobym z prośby nie zyskał najmniejszego skutku,
Pojedziemy z pegazem bardzo pomalutku,
Zdanie bowiem na czasie właściwie przyjęte
Że dzisiaj w każdej sprawie, człek, *festina lente* —

.....
Słońce dziś w Kozioroźcu — lecz ztąd niema trwogi,
Bo chociaż owo zwierzę, ma za duże rogi,
Jak w każdym kalendarzu stoi na rysunku,
Lecz ztąd jak powiedziałem nie będzie frasunku,
Bo jak się w Kozioroźcu biedak maż urodzi,
I ustrojony w rogi, całe życie chodzi,
Choćby się dobrodziejka pogniewała nawet,
Równość może nastąpić oddając wet za wet —
Prawda, że ztąd wyniknie chwila niespokojna,
Maż i żona rogaci? — więc domowa wojna,
Ale w dzisiejszych czasach, przyjęta jest moda,
Że choć rogów niemają, to i tak się bodą —
Więc lepiej, jeżeli związkim ścisłym połączeni,
Choć w rogi jak zwierzęta będą uzbrojeni —
Mówi stare przysłowie: że biada domowi,
Jeżeli krówka swawolna dobodzie wołowi,
Kiedy go jednak sama zmienia na rogacza,
Toć sam sobie jest winien, jeżeli przebacza —

Z tych więc względów wynika najwłaściwszy wniosek,
 Dla stolic, miast, miasteczek, dóbr ziemskich i wiosek,
 Przyprawia ci dwa rogi, bądźże zaraz szczerzy,
 Płać kapitał z procentem i przyprawiaj cztery,
 Nad dziećmi, gdy przybędą, według mądrych zdania,
 Na miejsce wykrzyknika — daj znak zapytania, —
 Każdy rok, gdy się kończy, wcale nie na żarty,
 Jest zawsze na kieszenie porządnie uparty; —
 Znają to wie i miasta, Warszawa i Kraków,
 Że choć się dość nakopie w jesieni ziemniaków,
 Lecz mało za nie płacą — więc mały pożytek,
 Bo niema na przekąskę ani na napitek —
 A przysłowie powiada — nawet wojewodzie,
 Najserdeczniejsza miłość sprzykrzy się o głodzie —
 Czasem, choć są kartofle, i tak liche miny,
 Bo niema grochu, owsa i innej jarzyny,
 Ziemniaka bez pieczeni zbyt mała zaleta,
 Pokarmem takim tylko żyć może poeta,
 Co niemyśląc na ziemi o wetach i sosach,
 Czeka na lepszy pokarm po śmierci, w niebiosach,
 Chociaż i to nie pewne, czy mu go tam dadzą,
 Lub tylko z trybularza pod nosem zakadzą,
 A choć się na to biedak, strasznie będzie złościł,
 Czy na ziemi, czy w niebie, zawsze będzie pościł, —
 Z tych powodów, gdy cienko w *vier und siebcigerze*,
 Lepiej birbantom hulakom czy sknerze,
 Kiedy wkrótce nadejdzie znów *fünf und siebciger*,
 Niech się zjawi w kieszeni talar lub cwancyger,
 Jest to bowiem największe dzisiejsze życzenie,
 Głupstwo wszystko na świecie — grunt tylko kieszenie —
 Wierność, wzniosłe myśli, nie robią porządku,
 Jak będą pustki w głodnym brzuchu i żołądku,
 Choćbyś wiedział jak żyli Rzymianie i Grecy,
 Na nic się to nie przyda, jak wiatr dmucha w plecy —
So stehen die Geschäfte — also alle Polen,
Wie verständliche Preussen, immer gehen sollen, —
 Nietrzeba się tu nad tem szeroko rozwodzić,
 Człek zwykły nie może się w Kozioroźcu rodzić,
 Zwłaszcza gdy rok zbyt ciężki — nawet humorysta,
 Pod tym znakiem zrodzony, gdy mało korzysta,
 Będzie kwaśny i nudny — do żadnej ramoty,
 Bez pokarmu napoju, nie będzie ochoty,
 Słowo jego, na smutek będzie takim lekiem,
 Jak na pokarm ogórek z przekwaszonym mlekiem —
 Jeżeli więc rok ciężki dla braku finansów,
 Nie można w Grudniu żadnych prowadzić romansów,
 Bo z takich naturalnie poważnych powodów,
 Ileby było ślubów, tyle i rozwodów, —

Chociaż przeto śmierć goni a czas zwykł uciekać,
Lepiej odwlec małżeństwo na pieniądź poczekać,
Jak narzekać nierychło — płakać nad miłością,
Gdy ci wzniosłe uczucie, stanie w gardle kością —
Poeci co innego — czy to on, czy ona,
Mogą się śmiało chwycić w serdeczne ramiona,
Mogą się w Grudniu żenić, mogą się i rodić,
Potrafią oni sobie wzajem troski słodzić,
A chociaż się popłaczą nad swą dolą biedną,
Pocieszą się niedługo — dla nich wszystko jedno,
Czy bieda, czy dostatek — kto wyżej spogląda,
Na tym płaczu padole, bardzo mało żąda,
Bo z wiarą, przekonaniem żyje i umiera,
Że Bóg, co łyzy wyciska, to je i obciera. --

.

Miałem skończyć kalendarz — panu Bogu chwala!
Ale mi się jak na złość, Gwiazdka przypomniała,
A to przecie od dawna zwyczaj jest przyjęty,
By wzajemnie na Gwiazdkę rozdawać prezenty —
Gdy zatem można jeszcze dłużej perorować,
I każdemu co można z serca ofiarować,
Więc zacni Czytelnicy, Panowie i Panie!
Proszę was o cierpliwość i o posłuchanie —
Panienci i dziewczęta, nikt niewątpi wcale,
Możeby poszły za mąż w przyszłym karnawale,
Więc na gwiazdkę przedstawiam młodzieńców dwie roty,
W tym całym batalionie jest dosyć ochoty, —
Pierwsza rota ma pełne złota mantelzaki,
Ale za to w głowiznach — z przeproszeniem — flaki —
Każdy sądzi — przy złocie, co mu po rozumie?
Kapitan nawet roty — trzech zliczyć nieumie,
Niewiem więc moje panie — czy się odważycie,
Ze złotem, lecz bez mózgu, walczyć całe życie? —
Druga rota przeciwnie — puste mantelzaki,
Ale widać im z miny, że zuchy chłopaki,
Jak wystąpią gdy każą na bój, czy paradę,
Przy rozumie, ochociej, dadzą sobie radę —
Kapitan ich, co w życie spogląda z zapałem,
Niezważa na przeszkody — wart być Generałem —
Zatem bez ceremonii, zważywszy powoli,
Z pierwszej, czy drugiej roty — wybierzcie do woli, —
Teraz pewno młodzieńcy, po prezeńcik idą,
Z życzeniem, by przed ołtarz zawiódł ich Kupido —
Proszę więc uniżenie — W tym oto salonie,
Co tysiącem lamp jasných goreje i płonie,
Brunetki i blondynki, chodzą w wszystkie strony,
Kosztowne, materialne, powłócząc ogony —

Ta ma sto — ta znów trzysta — ta sześć kroć tysięcy,
Ta ośm kroć — ta milion — a ta jeszcze więcej —
Złoto kapie obficie — błyszczą diamenty!
Ale za to rozumek? — panie Boże Święty!
I gdybyś tylko odjął — strój i złota wiele,
Zostałaby z wszystkiego — z przeproszeniem — ciele! —
Chodźcie ztąd zacni chłopcy! — niech je wezmie lichy,
Inne wam dam dziewuchy — sprawiajcie się cicho,
Bo tu w tej wielkiej izbie blaga nie popłaca,
Tu zamieszkały skromność, nauka i praca,
Tu na ostatnim planie stroje i dostatki,
Tu są najlepsze żony i wzorowe matki,
Nie zatrują ci życia goryczą i jadem,
Będą dla dzieci twoich, najlepszym przykładem —
Tu się zacne przymioty w sercach zaszczepiły.
Jak z mężką siłą złączą, chociaż słabe siły,
Chociaż kroci nie będzie — praca was wyżywi,
Bierzcie! — pracujcie wspólnie — będziecie szczęśliwi! —
Wypadałoby także, dla ojców i matek,
Przysłać jaki prezencik ładny na ostatek, —
Wiem, że wszyscy poczciwi ojcowie i matki,
Najwięcej pono w świecie, ukochali dziatki —
Mam dość dzielnych młodzieńców z drugiej mojej roty,
Mam dziewczęta poczciwe, pełne wiary, cnoty,
Co ucząc dzieci wasze, wskażą życia drogę —
Mam także kij dębowy — darować go mogę,
Abyście ciężkie błędy nareszcie poznali,
Bony i guwernerów napowrót wygnali,
Do Szwajcaryi i Niemiec — co tu z Boskiej kary,
Bałamuć wam dzieci — kradną wam talary, —
Mam jeszcze dość znajomych — boć ludzi nie mało,
Pragnącym — dać na Gwiazdkę coś by należało,
Ale wiecie dokładnie — że wciąż od poety,
Uciekają banknoty i wszelkie monety —
Przez kieszenie Bociana, wiatr dziurami wieje,
Z próżnego jak to mówią — nikt nic nie należy,
Trzeba się przeto zgodzić z przeznaczeniem takim,
I jak ja — chociaż Gwiazdka — obchodzić się smakiem —
Dla szelmów i oszustów, niemam też ochoty,
Rozdawać do krzywdzenia wdowy i sieroty,
Albo bliźnich do darcia — jak mówią ze skóry —
Jeżeli się o to zgniewa, z dobrodziejów który,
Mogę tylko pokazać, robiąc z Gwiazdką finał,
Gdzie stoi szubienica — albo gdzie kryminał. —

.

Byłbym na śmierć zapomniał — a tu wszyscy wiedzą,
Że Prusak na Prusaku u nas po wsiach siedzą.

A napychając ciągle worki, portmonety,
Rude, galman i węgle ryją tak jak krety —
A śmieją się serdecznie zażywszy tabaki,
Że strasznie jeszcze głupie sąsiady polaki —
A zatem pożegnali sąsiedztwo niemie,
Chciałbym dać im na Gwiazdkę wielką, złota żyłę,
Jednakże — notabene — z tym tylko warunkiem,
Aby ryjąc — szli za nią zachodnim kierunkiem,
I *Drang* sobie zrobili, przeciwny *nach Westen* —
A w ten czas będą nasi sąsiedzi — *die Besten!* —

.
I koniec kalendarza — ramota dość długa,
Jak tego, co się chwyta, raz pióra — raz pługą,
Nie wiedząc co ma robić wszedłszy między ludzi,
Ciągnąc dwóch srok ogony — bardzo często nudzi —
Z tego więc naturalnie ta racja wynika,
Że dostanie porządną burę od krytyka —
Że zaś pisał i orał będąc taki głupi,
Co zasiał, zje przez zimę — a do siewu kupi —
Jeżeli będzie miał za co — ale — trudna rada,
Kiedy człowiek rozpoczął — dokończyć wypada, —
Jeżeli Bóg da doczekać — z dobrymi chęciami,
Pragnąłbym jeszcze dłużej pogawędzić z wami —
A chociaż pióro z pługiem niemogą dać mienia,
Ale co długo gadać! — zatem — do widzenia! —

K o n i e c .

w *Mzuruwie d. 8 Grudnia 1877 r.*

SIEDM GŁÓWNYCH PARAFIALNYCH GRZECHÓW.

Gawęda humorystyczna.

Jego Excelencyj Biskupowi Dijecezyi Kieleckiej
JW-mu Tomaszowi Kulińskiemu w dowód głębokiego
szacunku ofiarowana.

Wstęp.

Szanowni Czytelnicy! z głębokiej prarafii,
Z miejsca, które nie stoi w żadnej geografii,
Z spokojnego ustronia i z wiejskiej zaciszy,
Gdzie nas mało kto widzi i mało kto słyszy,
Gdzie nie bardzo są znane figle złego czorta,
O siedmiu grzechach głównych posyłam raporta —
Nie są one tak ciężkie, jak to bywa w mieście,
Jednak to się przytrafi mężczyźnie, niewieście,
Wypalić jakie głupstwo, często niedorzeczne,
Ponieważ to są grzechy trochę niebezpieczne,
Abym przeto błądzących z nałogów poprawił,
Raczie słuchać łaskawie, co wam będę prawił.—

I.

P Y C H A.

Od niepamiętnych czasów — od stworzenia świata,
Czy bogacz z pełnym trzosem, czy biedny brat Łata,
W ogóle wszyscy ludzie bardzo z tego radzi,
Gdy im się pod nosami z trybularza kadzi —
Biedak, co mu się koniec ledwo z końcem zwiąże
Płacze, że tak nie żyje jak hrabia lub książę,
I dotąd lamentuje, narzeka i wzdycha,
Aż na końcu biedaka opanuje pycha —
Źle, wtenczas — bardzo lichy — Mości Dobrodzieje!
Z próżnego jak to mówią, nikt nic nie należy,
Trudno dobrze basować, kiedy niema smyczka —
Gubi nas często w życiu, na głupstwa pożyczka,
Nie jeden biorąc dziesięć na sto rewers pisze,
Dogadzając zachceniom — czyniąc zadość pysze,

<http://rcin.org.pl>

A pisząc nierozważnie rewersa i kwity,
Włazi z całym majątkiem w trzos Izraelity —
Ale — jak tu poradzić? — jakże dzierżawczyni,
Wydobędzie z komody, szafy albo skrzyni,
Skromną jaką sukienkę bez gustu i szyku?
Jak pojedzie na wózku — a nie w koczobryku? —
Bez herbowych guzików, jak przedstawić Grzełę,
Gdy się trzeba pokazać w parafii w kościele?
Kiedy pani dziedziczka — z sąsiednich dóbr Bzdury,
Wystrychnięta jak z igły i z nosem do góry
Rozpiera się w powozie — Matus z bata pali,
Że się trzęsą domostwa a dzwonnica wali
A zmruczone sąsiady zadartego nosa,
Tak dnmnie przez binokle błyskają z ukosa,
Że widząc taką dumę — kocz i paradjery,
Chłopy, do samej ziemi zniżają magiery —
I ja podnieść się mogę całą moją duszą,
I mnie się uniżenie chłopcy kłaniać muszą! —
Tak twierdzi dzierżawczyni — Abram stojąc z boku,
Co wszystkie interesy ciągle ma na oku,
Jakoś dziwnie wykrzywia izraelskie lice,
Zakupił już ziemniaki, wełnę i pszenicę,
Pieniądz wyszedł na fioki, ogony i szmatki,
Choć zaległy procenty, raty i podatki —
A dzierżawca nieborak — i cóż pan dzierżawca?
Choć go może posądzać jaki ludzi znawca,
Że się w pychę podnosi — choć go bięda dusi,
Lecz jak pani zawoła — tak chcę! tak być musi!
Oddaje za wygranę, chcąc grać rolę zucha,
Zdejmuje grube buty — zbywa się kozucha,
A wystrojony krótko, kuso jak małpeczka,
By się ścisnąć z panami, jedzie do miasteczka —
Tam grosz wypożyczony na marności leci,
Choć niéma inwentarza i książek dla dzieci —
To jest pycha — grzech ciężki — mój Ty Święty Boże!
Czy to człek z innych zalet pysznić się nie może?
A czyniąc obowiązkom wszelkim swoim zadość,
Sprawdzając pod strzechę swobodę i radość,
Dając dzieciom naukę i dobre przykłady,
Wpajając w młode dusze poczciwe zasady,
Czy niemoże zawołać z największym spokojem!
Jestem pyszny! — bom zawsze przestawał na swoim —
Jestem pyszny! dla tego, mimo trosk, niedoli,
Bom nigdy niezłorzeczył przeciw Boskiej woli —
Bom wierzył, że choć w naszym materialnym wieku,
Za prawość i uczciwość oddadzą cześć człeku.

II.

ŁAKOMSTWO.

- Dla czego panie Pawle! — powiedz mi dla czego?
Tak ci strasznie w łeb wlaża *charitas ab ego?*
Przecież bięda niesiadła na twych tłustych barkach,
Jesteś panem dziedzicznym na kilku folwarkach,
Masz z nich mój Dobrodzieju! dochód oczywisty,
W portmonecie banknoty i zastawne listy,
Znajdzie się też u ciebie i trzos pełny stary,
W którym, choć nieświęcone brzęczą imperjały —
Dla czego? — choć nie możesz narzekać nad losem,
Wszyscy prawie na ciebie kręcą jakoś nosem?
Mówią, że o twych sprawkach można pisać tomy —
Dla tego panie Pawle! — boś strasznie łakomy —
Powiedz mi Dobrodzieju! co ci było potem,
Napełniać swoją kieszeń źle zyskanem złotem,
Przecież pracę uczciwą każdy z naszych braci,
Gdy ją oddasz skończoną, sumiennie zapłaci,
A lepszy w pocie czoła zarobiony złoty,
Jak tysiące, miliony, skrzywdzonej sieroty —
Lepsze — ... ale pan Paweł niekontent z tej sprzeczki,
Zatem przez ceremonię zaczęną z innej beczki,
Bo by może w parafii na mnie źle wypadło,
Żem przed grzechem śmiertelnym postawił zwierciadło,
Bóg tam, lepiej osądzi zbrodniarza i łotra,
Żegnam więc pana Pawła a idę do Piotra —
- Piotrusiu! puchu marny! czemu Wasze wdycha?
Dla czego uszy na dół — mina taka licha?
Dla czegoś taki kwaśny? — ty wietrzna istoto!
Pojąłeś przecie wdówkę — masz żonę i złoto,
Cieszą się z twego szczęścia ciotki, mama, tata,
Czegoś smutny braciszku? mogąc kpić ze świata —
Musi cię przecie wdówka uwielbiać okropnie:
- Ej! — daj mi sąsiad pokój — niech ją tam gęś kopnie!
Co mi tam po dostatkach gdy je zlewam łzami —
- A szczęście? — gdzież jest szczęście? — Precz, tam za górami,
Pozostało się tylko trosk i strapiień brzemie,
A marzenia młodości, zakopałem w ziemię —
- Tam do licha! — to kiepsko — mój Piotrusiu drogi,
To widać dobrodziejka pokazała rogi,
A gdy miesiąc miodowy znudził ją przy zgodzie,
Zaprowadza porządek i Waszmości bodzie?
Jeżeli cię częstuje wyborym przysmakiem,
Swą pracą go nazywa — a ciebie? — próżniakiem —
A może darmozjadem źle mającym w pale,
Żeby mogła wyjść była lepiej za mał wcale,

Ze nie możesz zarobić własną pracą rubla,
A masz tak żółto w dzióbie, jak w Maju u wróbla —
Żeś nie wart torby sieczki, ani wiechcia słomy,
Pocóżeś mój Piotrusiu! był taki łakomy?
Mając wygodki świata na swoim widoku,
Chciałeś się dobrze popaść na cudzym obroku,
Zawierzyłeś przysłowiu, że miłość o głodzie,
Sprzykrzyć się może nawet panu wojewodzie,
A tu właśnie przeciwnie — jak niema miłości,
Wojewoda na zamku, jak dziad w budzie pości,
I zazdrości dziadowi gardząc własnem złotem,
Że choć idzie przez życie z troskami i potem,
Posiada wielkie skarby, które dają nieba,
Szczęście w pośród rodziny i z pracy kęs chleba.—

.....
Dla czego? zacna mamó, masz minę pokorną,
Byłaś przecie tak mądrą, rozważną, przezorną,
A chcąc córce zapewnić los wielki na świecie,
Staremu bogaczowi sprzedałaś swe dziecko —
Pałą cię łyż dziewczęcica — zaślona z ócz spadła,
Boś przez brzydkie łakomstwo — szczęście dziecku skradła —

.....
Szanowny dobrodzieju! — sąsiedzie Wincenty!
Płaczesz — boś taki goły jak turecki święty,
Chciałeś grywać na giełdzie i zyskać miliony,
Pozbyłeś za pół darmo pradziadów zagony,
A niemając w głowiznie przemysłu iskierki,
Za pieniądź kurs mający, kupiłeś, papierki
Które ci niemiec sprzedał — mój Wicusiu frycu!
Z wyraźną hypoteką — ale — na księżycu —
I *clapsit gloria mundi* — smutny to wypadek,
Trzeba było, jak ojciec dziadek i pradziadek,
Chodzić sobie za pługiem — *modo polonico*,
Nie narażać majątku na takie *risico* —
Nie uważać na niemca, choć robił zaczepki,
Ale cóż?... brakowało Waści piątej klepki.
Wielkich zysków, bez pracy, zapragnęła dusza,
A w tem — krach! — urwało się — śpiewasz Tadeusza,
Przez łakomstwo doszedłeś do zbyt przykrej doli,
A ci, coś ich mój bracie! zostawił na roli,
Pracują w pocie czoła — choć się nie wesela,
Bóg daje chleb powszedni — nim się z biednym dzieła,
Wynagradzając cnoty — gdy zamkną powieki,
Nie wypuści ich rodzin — z swęj świętęj opieki.—

III.

NIECZYSTOŚĆ.

Nie masz pewno na ziemi biedniejszej istoty,
 Jak człowiek co w parafii nabierze ochoty,
 Jeżeli mu Bóg cokolwiek zdolności pozwoli,
 I dla swych czytelników ramoty gryzmoli —
 Głaskać? — źle! — bo dostaniesz mydło od krytyka,
 Ganić? — źle! — jeszcze gorzej! — dostaniesz w nos prztyka,
 A wszyscy najłaskawsi, sąsiedzi, sąsiadki,
 Choć by była myśl wyższa — wiersz jędrny i gładki,
 Jak tylko wadę draśniesz, z którejkolwiek strony,
 Będziesz bracie przekłety — będziesz potępiony. —
 Grzech, o którym chcę pisać — wszyscy mi przyznacie,
 Nie powinienby gościć nigdy w polskiej chacie,
 Gdzie się już zagnieździły poczciwość i cnota,
 Gdzie panuje serdeczność i ojców prostota —
 Ale — czy wina mody — czy postępu wina,
 Czy też tam inna jaka piekielna przyczyna,
 Chociaż od wstydu drgają w grobach ojców kości,
 Wkraść się i do chat wiejskich, ów grzech nieczystości. —

.. . . .
 Ciężkie czasy! — zbyt ciężkie — mój Ty święty Boże!
 Człek nawet z ciężkiej pracy nic zebrać nie może,
 A choć sobie przez życie wiele pracy zada,
 Posagu biednym dzieciom mało co uskłada —
 Ale — jeżeli w chacie — Panu Bogu chwała!
 Nieskazitelna cnota — poczciwość została,
 Jeżeli w niej rodzina, wzorem ojców żyje,
 Ogień cnót tych nie spali i grad nie wybije,
 Chociaż życie w niedoli i biedzie się toczy,
 Przy prawości, człek wszystkim, śmiało spojrzy w oczy,
 Może umrzeć spokojnie i z czystym sumieniem,
 Gdy dzieci wyposażył — pocziwem imieniem. —

.. . . .
 Dalibóg — że się boję przystąpić do rzeczy,
 Chciałbym — aby rodziny Bóg miał w swojej pieczy,
 Aby ciężki ich żywot, troską, nie zasmucił,
 A zniewagę i hańbę od ich strzech odwrócił —
 Bo niech mi kto wyjaśni — do starego licha!
 Po co matka rodziny, do dandysa wdycha?
 I oddaje swój honor w wielką poniewierkę,
 Dandys, dla tego, kocha aby miał wyzerkę,
 A jak się lepsza trafi — ubóstwianą, drogą,
 Shańbiwszy niegodziwie — nie raz — kopnie nogą,
 I jeszcze w jakiej knajpie szydząc opowiada,
 Że uwiódł głupią żonę — głupiego sąsiada —

A takiego mądrego używał sposobu,—
Że pokazał mężowi drogowskaz do grobu,—
Takiemi znów obdarzył dzieci posagami,
Że ich będą nie długo wytykać palcami —
Jeżeli to jest droga do emancypacyj,
Jeżeli w tém co objawiam, niema słusznój racyj,
Jeżeli lepszych czasów w tych brudach dożyjem,
To starego Bociana wymagajcie kijem!—
O wyl co to nie dbacie na dzisiejsze czasy,
I z taką skwapliwością wycinacie lasy,
Dla waszój spokojności a złym ku nauce,
Zostawcie jeden dębczak sękaty na włóce —
Kij!— to dzielne narzędzie — a może jedyne
Którym można ocalić od hańby rodzinę —
Nim dobitniej jak różgą Duch Święty bić radzi,
On życia nie odbierze — zdrowiu nie zawadzi,
Nim można wykołatać szlachetniejsze czyny,
Bo on kozły wypędza a uczy łaciny —
Nim można zaprowadzić porządek na świecie,
Kupido parafialny, jak weźmie po grzbiecie
Rzuci łuk, precz od siebie — ciśnie wszystkie strzały,
Chociaż prosto w serduszek zawsze celowały —
Kij!— to dzielne narzędzie — trzymając go w dłoni,
Lepiej jak karabelą człowiek się obroni,
Nim to można na grzbiecie wydrukować zdanie,
Co dopełniać dziewiąte broni przykazanie —
Przez kij!— może zabłysnąć myśl wielka i wzniosła,
Tak że nikt nie pożąda wołu ani osła,
A mowy nawet niema — że od cudzój żony,
Będzie zmykał, uciekał, tak jak oparzony —

Na tém kończę — łaskawi czytelnicy moi!
Więcej pisać nie mogę — bo łza w oku stoi,
Wolę zatem zamilczeć o zbyt ciężkim grzechu,
Co wart kija — jak mówię — ale nie uśmiechu.—

IV.

Z A Z D R O Ś Ć .

Od samego stworzenia mizernego świata,
Jak Kain zamordował rodzzonego brata,
W interesach, zamiarach, handlach i miłości;
Dawno zakorzeniony, siedzi grzech zazdrości —
Gdyby człowiek z uśmiechem przestawał na swoim,
Używał co Bóg daje z wiarą i spokojem,

Nie żądał marcypanów, kiedy musi pościć,
Nie miałby czego innym co chwila zazdrościć —
Lecz na to trudna rada — bez najmniejszej sprzeczki,
Nie podobno dziś człeku schować się do becзки,
I tak jak Dijogenes, ów dawny brat Łata,
Kpić sobie z zachceń ludzkich i marności świata —
Nie podobno zazdrości usunąć niestety!
Kiedy ja jem chleb suchy a drugi pasztety —
Nie westchnąć bardzo ciężko żałosliwym tonem,
Gdy mam krótką sukienkę a tamta — z ogonem —
Nie podobna z zazdrości nie mieć łezki w oku,
Gdy ja chodzę w czepczynie — inna w pysznym koku,
Co tak głowę przewiesza prawie na łopatkę,
Że muszą wszystkie panny, wdowy i mężatki,
Prześliczne greckie noski, choć zwieszono na dół,
Zadrzcć — i patrzeć z góry, na nasz płaczu padół.—

W każdej prawie parafii, w takim małym świątku,
Jest zawsze trochę biedy i trochę dostatku —
Dygnitarz napuszony w parafialnym świetle
Mając trochę banknotów w swojej portmonecie,
Dumny, że go los wyżej od innych posadził,
Pragnie by mu biedniejszy z trybularza kadził —
A chociaż pradziad jego był Szmulem, Aronem,
Za grosz jednak za skórki, zostawszy baronem,
Przypina — pochodzenie trzymając w sekrecie,
Galony na lokaju — herby na karcie —
Takich herbów, galonów, parady, wielkości,
Stary ubogi szlachcic, dość często zazdrości,
Chociaż rzecz najszlachetniejsza — prawda jak Bóg w niebie
Że dużo wyżej stoi, przy powszednim chlebie,
Jak ten, co się z majątku pyszni i nadyma —
Niechaj tylko sumienie w czystości utrzyma,
Wychowa dzieci swoje w prawości i cnocie,
Świat odda cześć należną, choć szarą kapocie.—

Chłopaki i dziewczęta! prawych ludzi wnuki!
Co się z chęcią bierzecie do pracy, nauki,
Zo wiarą i przekonaniem, że temu kto orze
Pan Bóg pobłogosławi, w pracy dopomoże,
Porzucicie grzech zazdrości — bo po cóż u licha,
Nie jedno wiejskie dziewczę, do głupstw świata wzdycha?
A czy to nie do twarzy uczciwej panience
W własnym swoim warkoczu, w kwiatku i sukience?
Czy modne czupiradło jest jaką ozdobą,
Albo ogon u sukni włóczony za sobą?
Czy te cudackie stroje uszyte z gałganów,
Nie przybliżają ludzi do głupich pawianów?—

Zazdrościłbym bogatszym, nie wiatrów i dymów,
Ale tego, że więcej miłosiernych czynów,
Więcej wsparcia dać mogą przy dobrej ochocie,
Nieszczęśliwym, biedakom, wdowie i sierocie —
Wy młodzieńcy! jeżeli los wam przeznaczony,
By orać w pocie czoła praojców zagony,
Rozważywszy rzecz dobrze — raczcie się nie żalić,
Że nie można nad czwórka ostro z bata palić —
Owo jarmarkowanie? — czy godne zazdrości? —
Gdy w domu ciężka bięda, gdy rodzina pości,
Czy dobrze — że pan domu wzniosłszy nos do góry,
Puszcza w karty ostatki — łyka nędzne lury? —
A grosz, coby wyżywił przez miesiąc rodzinę
Utraca nierozważnie przez jedną godzinę? —
Że w mieście u młodzieńców mina niby butna,
Że zakrywszy swe piersi pancierzami z płótna,
A pod szyją z fantazją zawiązawszy nitkę,
Przy takiem uzbrojeniu, jeszcze na dobitkę,
Wysmarowawszy sadłem pokręcone włosy,
I położywszy szkiełka na zadarte nosy,
Paradują poważnie i zbijają bruki?
Wy pracujący w roli — prostych ludzi wnuki,
Nie zazdroście wielkości i takiej parady, —
W kapotach szaraczkowych chodziły pradziady,
A przecie wiemy o tém, że im nie źle było
Jeżeli serce szlachetnie pod kapotą biło, —
Czegobym im zazdrościł — a zazdrościł strasznie,
To tego, że tam oni, bez wyjątku właśnie,
Gruntownie i wysoko wykształcić się mogą,
I gdyby szli z rozsądkiem wskazywaną drogą,
Myśleli nie nad głupstwem, lecz nad swoją głową,
Stanęliby o wiele wyżej umysłowo,
I pomogli przy pracy na kochanej ziemi,
Nie wzorami do strojów — lecz radami swemi. —

V.

OBŻARSTWO.

Nie tobie przypnę łątkę sąsiedzie Karolu,
Co pracujesz od świtu do wieczora w polu,
A ledwo tylko jedną przespawszys godzinę,
Żywisz z ciężkiej swój pracy, liczną swą rodzinę,
Ty możesz konsumować stary zraz z bigosem,
Zdrową pieczeń huzarską i indyka z sosem,
Choć będzie owych potraw porcja znakomita,
Może być po przekąsce i *bis repetita*,
Omne trinum perfectum — temu nie zaszkodzi,

Kto dla dobra rodziny, jak w kieracie chodzi —
Jédz dobrze! i pij dobrze — przyjacielu miły!
Abyś nabrał do pracy ochoty i siły,
Nikt ci nie śmie powiedzieć, że byłeś obżarty,
Kpij sobie z głupstwa świata, chociaż los uparty —
Częstowałeś sąsiada gościnnie i szczerze,
Co także na widelec dobre porcje bierze,
Boć twarze ogorzale — wstawanie przed świtem,
Muszą się zawsze spotkać z dobrym apetytem —
A jak się jeszcze z biednym człek chlebem podzieli,
Nikt się tego obżarstwem nazwać nie ośmieli.—
Ale — do ciebie piję — panie Bonifacy!
Co marnujesz niegodnie owoce swój pracy,
A zbywszy dobrą porcję żyta i pszenicy,
Jedziesz, przejeść i przepić dochód do stolicy,
A choć się frykasami nic a nic nie najesz,
Całoroczną intratę za tydzień wydajesz, —
Wytłomacz mi łaskawie mój Bonusiu drogi!
Czy nie lepszy barszcz z rurą — z słoniną pierogi,
Miodek — co swą czystością bawi nasze oko,
Jak raki albo ryby z rzeki Orinoko,
Które dziś jadłodawcy, zważywszy rzecz ściśle
Dla panów Bonifacych, każą łowić w Wiśle?
Co je noszą w koszykach do zakładów chłopcy,
Przecież nie z Ameryki, tylko z Europy,
W wypłatanych kobiałkach, lub po prostu w worku,
Żaden chłop z pod Mazowsza nie widział New-Yorku,
A przecież produkt jego, co spekulant kupi
Płacisz złotem Bonusiu! — dla czego? — boś głupi!
Rybę, co złowił Maciek przy pomocy tyki,
Jesz — myśląc że okrętem przyszła z Ameryki. —
Mógłbyś sobie zajadać z Missisipi ryby,
Nic by to nie szkodziło, mój Bonusiu! — gdyby,
Żona twoja, co z tobą wciąż pracuje szczerze,
A na pomyślność dzieci odmawia pacierze,
Miała w swoich potrzebach, jak to mówią — *satis* —
Lecz ci muszę wypalić *verba veritatis*,
Bo chociaż syny twoje i córki urosły,
Jak im nie dasz nauki — pozostawisz osły —
Nie bądźże więc obżarty — z małżonką kochaną,
Zajadaj sobie smacznie ziemniak ze śmietaną
Za ryby z Orinoko i za Rederera,
Sprrowadź sobie dobrego z Polski gubernera,
Coby dzieci wprowadził na taki porządek
Że u nas głowa górą — a nie zaś żołądek.

Jeszcze małe *post scriptum* — w śród mody chaosu,
Damom nie mogę radzić kaszy i bigosu,

Boć to ciężkie potrawy — ale nie zawadzi,
Jeżeli człowiek od serca, pocziwie poradzi —
Jesteście moje panie straszliwie uparte,
Ucziwszy uszy wasze — okropnie obzarte,
Chciałybyście pozjadać mimo niewygody,
Wszystkie, jakie wam wskażą zagraniczne mody —
A chociaż głowy wasze okryte już sronem,
Kaźecie córkom chodzić z kokiem i ogonem,
By je złapał za żony, w pośród takich szyków,
Amator z Ameryki ryb i smakołyków —
Jak się taki obzartuch, z nadętą pawicą,
Wiecznym związkim małżeńskim wzajemnie pochwyca,
Wydadzą pewno na świat można twierdzić śmieie,
Wołu, osła, lamparta — lub po prostu ciele —
Z których kiedyś — jak wzrosną, każdy będzie szydzić,
A wy babki, za wnuków, musicie się wstydzić —
Za prawdę — co ją piszę — raczcie mi darować,
Trzeba dzieci starannie na ludzi wychować,
By miały, dobry rozum — uczciwość i zdrowie,
By im nie brakowało — żadnej klepki w głowie.—

VI.

G N I E W.

Jeżeli się zdarzy panu lub jego niewieście,
Co mieszkają na dole lub na piętrze w mieście
A są bardzo gniewliwi — mówiąc tu nawiasem,
I trapią współmieszkańców krzykiem i hałasem,
Właściciel kamienicy, przez spieszne wygnanie,
Zaspokoi zupełnie powszechnie żądanie —
Ale na wsi?— rzecz inna — słyszysz czytelniku!
Co u pana Marcina przekleństwa i krzyku?—
Sypią się z ust spienionych djabły z piorunami,
Jakby się świat przewrócił do góry nogami,
Dziewki i gospodyni łapią się za głowy,
Zmyka jak oparzony na pole karbowy,
Pocziwa, zacna, cicha, pani Marcinowa,
Biedne dziatki przed gniewem złego ojca chowa,
Bo zły przykład dla dzieci czuje i pojmuje,
Nie płacze nie narzeka — bo jej łez brakuje,—
I cóż za powód gniewu?— i cóż się to stało?—
Nic zacny czytelniku!— ciele się urwało,
A biegnąc i świstając, wśród takiej rozpusty,
Zjadło, wpadłszy w ogródek, dwie główki kapusty!—
Mój sąsiedzie Marcinie! powiedz mi Dobrodzieju,
Co o główkę kapusty tak ci bardzo chodzi?
Chyba że twoja głowa, chociaż w was ozdobna,

Do tamtęj kropka w kropkę zupełnie podobna,
Bo nie możesz w niej zmieścić i utrwalić zdanie,
Że dobroć radzi miłość — pogardę gniewanie.—

Teraz — zwróćcie swe oczy — czytelnicy moi!
W jakiej strasznej postawie pani Tekla stoi —
Kok na bakier — w nieładzie — zęby silnie zwarte,
Boki jak obwarzanki obydwą podparte,
Z oczów syją się iskry — czoło się zachmurza,
Ale — jeszcze spokojność — nie wybuchła burza, —
O Wy! szanowne ciocie, wujenki i panie!
Co tak lubicie na wsi prowadzić swatanie,
Ustąpcie choć cokolwiek z wielkiego zapału,
Nie pakujcie młodzieńców wczas do kryminału —
Bo czy wy macie serce — czy macie sumienie?
Skazywać ich niebacznie, na wieczne więzienie,
Wchodzi mąż — jakby Jowisz co pioruny ciska,
Pani Tekla dłoń wznosi — pięść złożoną ściska,
A przewracając oczy, jakby grom gzygzakiem,
Wita nieboraczysko słówek grzmotem takim,
Tak z rozwagą dobranych, wśród wrzawy i krzyku,
Że ich nigdy nie znajdziesz — w najlepszym słowniku —
I o cóż to te gniewy? — mój Boże kochany!
Oto, spadł po południu deszcz niespodziewany,
Zatrudnione pszenicą dziewczki i parobki,
Lnu Jójmość dobrodziejki nie związali w snopki —
Może źle — że mąż gniewu tak pokornie słucha?
Możeby lepiej radzić użycie cybucha? —
Ale — szkoda dziewczęcia w siedemnastym roku,
Co na takie komedje, przygląda się z boku —
Jeżli ją jeszcze oczy od częstych łez bolą,
Jeżli płacze serdecznie nad ojca niedołą,
Jeżli w sercu wyrte przykazanie Boże,
To czasem i zły przykład na dobre wyjść może —
Ale — jeżeli córka trzyma razem z mamą,
Idąc za jej przykładem, chce robić to samo,
Choćby miała największy wór złotych pieniędzy,
Uciekajcie młodzieńcy od piekielnej jędzy —
Bo węże co tak strasznie na jej głowie syczą,
Zatrują życie wasze jadem i goryczą —
Choć dziewczyna niewinna — lecz trudno by było,
W korzenioną złośliwość, pokonywać siłą,
Bo złą babę w proch zetrzój, nabij do armaty,
I wypal cały nabój, w górę w cztery światy,
Choćby z niej prochy, burze i wichry porwały,
I po całej przestrzeni świata rozsypały,
Długo jeszcze pomimo takiego męczeństwa,
Słychać będzie głos zemsty, gniewu i przekleństwa.—

VII.

LENISTWO.

Od niepamiętnych czasów — od świata stworzenia,
Każdy człowiek, zwierz każdy, ma cokolwiek lenia —
Robotnik, używając wołów albo koni,
By odpędzić lenistwo, trzyma bat w swęj dłoni —
Kolonista, co cukier z trzciny w młynie gniecie,
Wali biednego negra bambusem po grzbiecie,
Bakalarz, jeżeli słowem lenia nie poruszy,
Złego ucznia, próżniaka, wytarga za uszy —
Wszyscy — w ogóle wszyscy — krzyczą na nas, „praca!”
Więc lenistwa grzech ciężki, całkiem nie popłaca,—
Warszawa, Radom, Kielce, Piotrków, Lublin, Kraków,
Między swemi murami, ma dosyć próżniaków,
Niby oni pracują, tak samo jak inni,
Ale tego nie robią, co robić powinni —
Ci się modlą zanadto — przed ołtarzem kadzą,
Zamiatają kościoły — a grosza nie dadzą,
Chociaż żebrak z lżą w oku miłosiernie patrzy,
Zbywają go pobożnem:— „Niech Pan Bóg opatrzy”
Nie dla tego, że w duszy skąpstwa grzech ich łechce,
Ale, że im się w kieszeń po grosz sięgnąć nie chce,—
Przeminął już wiek złoty — czas się uczyć każe,
Proszą się z masą książek, nakładcy, księgarze,
Różnych pism perjodycznych, porcja znakomita,
Wszyscy krzyczą — uczmy się! — a żaden nie czyta —
Po bruku, po ogródkach posuwistym krokiem,
Spacerują Sylfidy z ogonem i kokiem,
Włóczą się w dzień i w nocy — każda myśl wyteża,
Jakim by tu sposobem, złapać sobie męża?—
Coby dla niej pracował w sklepie, albo w biórze,
Chodził w wytartym fraku — a ona w turniurze —
Za niemi kusospięci Mefistofelesy,
Nie mając już co wyjąć z bardzo pustej kiesy,
Sypią krocie serdecznych i wzniosłych uniesień,
Chociaż w serca nie patrzą, tylko w pełną kieszeń —
A dla czego to, takie ciągłe polowanie?
Bo tak nasi panowie — jako też i panie,
Nawet w czasach, gdy pragną równouprawnienia,
Mają porządną porcję — obrzydłego lenia —
Każdego zaś leniucha, to jest zwykłym hasłem,
By mu drudzy chleb jego, smarowali masłem. —
Lecz—co mi tam do miasta!— wśród drzew wiejskich cieniów,
Dość, *dolce farnentuje*, parafialnych leniów,
W Sierpniu, Grudniu czy Marcu, Kwietniu albo w Maju,
Tak męzkiego, jako też żeńskiego rodzaju —

Słońce weszło — dziad z trzeciej idzie z kijem wioski,
A szanowny dóbr ziemskich dziedzic, Leniuchowski,
Choć wie, że tylko jedna utrzyma go praca,
Pod pierzyną spokojnie w łóżku się przewraca —
Dzieci głodne — jeść krzyczą — istna kara Boska!
Bo gwałtem wstawać musi pani Leniuchowska,
Musi się myć biedaczka — potem się ubierać,
Potem znów, kluczy szukać — wydawać, otwierać,
Aby choć na południe podano herbatę,
I żeby nie rozgniewać, jak się zbudzi Tatę —
A co to za służący! — jakie to leniuchy?
Wlóką się przy robocie, tak jak w smole muchy,
Trzeba ciągle na ręce patrzeć téj hołocie,
Grosz ich praca nie warta — bo śpią przy robocie —
Ale -- zbudzą się zaraz — jak obiad — kolacja,
Ach! — co to za okropna demoralizacja! —
Miałem tu jeszcze więcej przytoczyć przykładów,
Ale — może i słusznie rzec który z sąsiadów:
— Powiedz mi mój łaskawy szanowny Bocianie!
Co takie jak z ambony wciąż prawisz kazanie,
Po przeżyciu na ziemi już przeszło pół wieku,
Coś po sobie zostawił — mizerny człowieku? —
Dał ci Stwórca łaskawy cokolwiek talentu,
A ty, mając do pracy, jak inni, dość wstretu,
Człowieku! bez czci, wiary, miłości, sumienia!
Cóżesz w życiu nabazgrał, mając także lenia?
I nie raz w życiu swoim gryzmoliłeś лихо —
Więc drugim nie przyganiaj i siedź sobie cicho —
Okropne kapitały, zebrałeś do kiesy,
Wybornie prowadziłeś swoje interesy,
Łeb ci całkiem wyłysiał — łazisz prawie boso,
A jak cię w kark śmierć kiedy zamaluje koś,
Rezultat twojej pracy, myśli i fatygi,
Nie będzie miał wartości ani nędznej figi! —
Co recht — to recht! — istotnie — jak mówią prusaki,
Więc Szanowni sąsiedzi! — zażyjmy tabaki,
Wiém, że dla mnie jesteście — serdeczni najszczerzi,
A zatem za pokutę, uderzam się w piersi,
I przepraszam najmocniej — panie, wdowy, panny,
Herminie i Klotyldy — Urszule i Anny,
Marciny, Mikołaje, Artury Feliksy,
Jeżlim kogo obraził — na tém koniec — dixi! —

K O N I E C

w *Mzurowie d. 11 Stycznia 1875 r.*

WIEŚ i KAMIENICA

Ramota Heroi-Komiczna.

W-mu Janowi Królikowskiemu, artyście Teatrów
Warszawskich, przyjacielowi młodości, ofiarowana.

Wstęp.

Wojnę opiewam — ale to nie małą,
Co choć nie trwała całe lat trzydzieści,
Nawet krwi kropli, w niej się nie rozlało,
Lecz się kłócono — co się tylko zmieści —
Nie krwawe bitwy opisywać będę,
Lecz straszne swary, o głupią facjendę. —

Nie tak bywało Mości Dobrodzieju!
Za dawnych czasów — człek z wiarą, spokojem,
Mając w głowiznie dostatek oleju,
Choć bięda była — przestawał na swoim —
Dziś Mości Panku! choć dasz kurze grzędę
To i tak woła! jeszcze wyżej siędę! —

Antoni Pedał i Filip z Konopi,
Kwaśnych w złych czasach, nie chcąc jeść bigosów,
Zważywszy dobrze, że ich bięda kropsi,
Chcieli zamiany i poprawy losów —
Bo po cóż mają kłopotać się wreszcie,
Pan Filip na wsi — pan Antoni w mieście? —

Filip z Konopi — rolnik zawołany,
Lecz nigdy nie mógł związać końca z końcem,
Antoni w mieście robił fortepiany,
Z wszystkich fuszerów, największy pod słońcem —
Nie miał nic Filip z rolnych wiktuałów,
A pan Antoni z swych klawicymbałów. —

Szanowne Muzy! zebrane w Parnasie,
Raczcie nie skąpić pomocy ofiary,
Pomyślcie dla mnie o jakim popasie
Bo Pegaz stary i poeta stary —
Nie pójda bez was po Homera tropie,
Chcąc kamienicę zmienić na Konopie. —

Pieśń I.

Gdy zamieszkiwał w Łęczyckiem Boruta,
Sprawował rządy w całej okolicy,
Była u szlachty swoboda i buta,
I dobry humor na wsi i w stolicy —
Dziś, coś zaćmiło biedny płaczu padół,
Uszy i nosy — pospuszczano na dół. —

Dziwią się w czyścicu — niepojmują w piekle,
Co tak udreca pocziwe ludziska,
Że ci, co dawniej szumieli zaciekle
Dziś cicho siedzą — co ich tak przyciska? —
By się dowiedzieć przyczyny pokuty,
Kazał Lucyper, zawołać Boruty --

— „Słuchajno Wasze! — ty djable Sarmatów!
Co się tam dzieje dzisiaj w twoim kraju?
Przecie ich porusz — trochę — do stu katów!
Bo się z pokory dostanę do raju —
Jedź mi tam zaraz — a zajmij się szczerze,
Bym ich miał wszystkich, na mojej kwaterze—”

— „Cny Padyszachu! jam szlachcic z pradziada,
Niegubię braci przez podstęp zdradziecki,
Lepiej to zrobią — taka moja rada,
Mefistofeles i Djabeł Wenecki—”
Wyrzekł Boruta, poważnie i śmieie,
Pokrecił wąsa — brzęknął w karabełę. —

— „Masz może rację, słuszną Mości panie!
Rzucal byś radą jak na ścianę grochem,
Niechajże jadą — a Wasze zostanie. —
Przebiegły niemiec razem z chytrym włochem,
Do takich sprawek zawsze mają chętkę,
Połapią wszystkich, jak ryby na wędkę—”

Rozkaz natychmiast wykonany został,
Wzięli manatki w tłumoki i płachty,
Mefistofeles do miasta się dostał,
Djabeł wenecki pojechał do szlachty —
Aby uniknąć djabelskich pozorów,
Wzięli na siebie postacie faktorów. —

Święty zwyczaju, czasów starodawnych!
Kiedy człek sprawy, załatwiał z ochotą,
Bez rady łotrów i oszustów wprawnych,
Szedł drogą prostą i omijał błoto; —

Powróćże do nas — niech cię próśby zmuszą,
Bo nas te łotry, domęczą — doduszą.—

Mefistofeles, jak żołnierz do broni,
Wziął się do dzieła — myślał, projektował,
A kiedy z żoną kłócił się Antoni,
Swoje przybycie państwu zameldował —
Zapewnił z góry — że usunie troskę,
Gdy kamienicę zamienią na wioskę,

Mając zapasy do namowy słabe,
Wiedząc, że zawsze w każdej świata stronie,
Gdzie czort nie może, tam wysła babę,
Zaczął więc radzić Antoniego żonie —
I kobiecie — choć nie w ciemię bitą,
Całkiem przerobił na swoje kopyto.—

— „Co pani potem? Mefistofel rzecze —
Choćby i mienie wysoko wam wzrosło,
Życie się smutno, bez honorów wlecze,
Nie da powagi, znaczenia rzemiosło, —
Lepiej się pozbyć nędznej kamieniczki,
A przybrać tytuł — dóbr ziemskich dziedziczki—”

— „Porzuć rzemiosło — co ci już obrzydło,
I kamienicę z troskami różnemi,
Na wsi w kościele, ksiądz poda kropidło,
Chłopy czapkami skłonią się do ziemi —
Będą cię wszyscy adorować strasznie,
Obnażać głowy — tytułować *Jaśnie!*—”

— „Masz jedynaczkę córkę tak jak łanię,
Którą zmarnujesz wśród miejskich odmętów,
A na prowincyi? — zobaczycie panie!
Ile tam będzie dzielnych konkurentów —
Będą zajeżdżać dzielnemi cugami,
Służba w liberjach — powozy z herbami!”

Udał się nie źle ów postęp zradziecki,
Wiedząc z pewnością, że go w siatkę złowi,
Tak samo djabeł doradzał wenecki,
W dobrach Konopie, panu Filipowi —
A tak podstępem, matał, kręcił głową,
Że przeniecował panią Filipową.—

— „Co pani potem? — wśród codziennych krzyków,
Podczas zawieji Stycznia albo Grudnia
Łazić do obór, chlewów i kurników,

Kiedy się wyśpisz w mieście do południa —
Będziesz tam tylko honory odbierać,
Tylko się stroić — tylko się ubierać —”

— „Co zabiegliwość, ciężka praca nada?
Gdy nie oddadzą uznania niewieście,
Kiedy szlachciance z dziada i pradziada,
Z uszanowaniem ukłonią się w mieście, —
Gdy na Miodowej — lub na Nowym-Swiecie,
Herb malowany ujrzą na karecie. —”

W wieku namowy, zysków i finansów,
Chciałem się obejść w ubogiej ramocie,
I nieumieszczać w niej żadnych romansów,
Cóż kiedy romans — nawet w Don-Kiszocie —
A w każdym piśmie, w każdym tygodniku,
Nauki mało — romansów bez liku.

Niemogąc tedy gardzić takim czasem,
Kiedy już wola i ochota taka,
Muszę w krótkości powiedzieć nawiasem,
Że miał pan Filip, syna jedynaka, —
Co akademię skończył teraz właśnie,
W córce Antonich zakochany strasznie —

Djabł wenecki z Mefistofeilesem,
Dopięli swego — panowie dziedzice,
Wzięli — skończywszy interes obcesem,
Antoni wioskę — Filip kamienicę —
I doczekali kłótni dosyć długiej,
Wojny i swarów — o czem w pieśni drugiej.

Pieśń II.

Gdy ma być wojna w całej Europie,
Wszystkie narody gotowe do broni,
Dla czegoż tedy i we wsi Konopie,
Gotów do bitwy, niema być Antoni? —
Armatę Krupa silnym strzałem nabić,
Zdrajcę Filipa, zastrzelić i zabić —

— „A to dopiero Judasz jakich mało!”
Wołał Antoni gniewał się i fukał,
— „Tysiące rubli intraty być miało,
A to mnie złapał, a to mnie oszukał! —
Same jałowce — chociaż miał być lasek,
Zamiast rędziny — z kamieniami piasek!”

Gdy wyrzekł takie rozpaczliwe słowa,
Zgniewany rolą, intratą i laskiem,
Ze łzami w oczach wpada Antoniowa,
Z szumem, tartasem, klekotem i wrzaskiem —
A rozniewana do małżonka rzecze:
— „Cóżes ty zrobił mizerny człowiecze! —”

— „Tu chyba z głodu umrzeć nam wypadnie,
Tu nas dobije ta dziura przekłeta
Nikt się nie kłania — każdy tylko kradnie,
Ani honorów — ani konkurenta —
Złapał się faktor na blaski pozorne,
Chociaż mu dałeś tak wielkie faktorne. —”

— „Niema cukierni, sklepu ni kawiarni,
Niema wieczornych z ludźmi pogadanek,
I jeść co niema, bo pustki w spiżarni,
W karczmie u żyda — śledź i obwarzanek —
Całe tygodnie trzeba tu żyć w poście,
Ciężko się wstydzić, gdy przyjadą goście —”

— „To wszystko fracha! — głupstwo moja pani!
Gorsze nas troski czekają, niestety!
Rzecz Antoni: — więcej serce rani,
Że mi z powiatu przysłano palety —
Że byłem głupi dóbr ziemskich amator,
Zabrać mi resztki, zjedzie sekwestrator. —”

— „Ładną pan przyszłość gotujesz kobiecie,
Gdy w swym uporze kierować się nie dasz,
Czyś ty przeczytał w dzisiejszej gazecie,
Że wystawione Konopie na sprzedaż?
Bo zalegają podobno trzy raty,
Skądże zapłacisz — gdy niema intraty? —

Na to Antoni: — „Co ja winien temu?
Czym ja chciał świecić blaskiem i honorem,
Czy ja winienem dzisiejszemu złemu?
Tyś wyprawiała konszachty z faktorem —
A ja — przez ciebie na biędę skazany,
Straciłem z domem moje fortepiany —”

Gdy małżonkowie kłóca się i radzą,
Wchodzi córeczka z wielkiem narzekaniem
Że pchły i muchy usnąć jej nie dadzą,
Choć je chce zniszczyć ciągiem polowaniem —

Lecz choć je gwałtem wymordować chciała,
Nie niepomogło — całą noc nie spała —

— „Co tam pchły muchy! — drobnostka i fracha!
Dla nich krew młoda, to uczta, to stypa,
Ale Waćpanna, masz w swej głowie gacha,
Usnąć ci nieda — syn pana Filipa —
Lecz wprzód zrobioną będzie z piasku kasza,
Zanim ty wyjdiesz za syna Judasza! —”

— „Nigdy! — przenigdy! niechęć tej sromoty!”
Krzychała matka — „po co się tu zużył,
Chociażby nawet autor téj ramoty,
Sto dni i nocy siwą głową kręcił —
Postanowienia mego cofnąć nie dam,
Jedynéj córki Judaszom nie sprzedam —”

Nie bój się dziewczę! — będzie koniec męce,
Choć twoja matka rządzi jak Xantypa.
Ja wnet intrygę całą tak wykreję.
Że pójdziesz za mąż za syna Filipa —
Ale wprzód muszę zobaczyć w stolicy,
Co się tam dzieje w waszej kamienicy. —

Pieśń III.

Tak samo biedny ex-dziedzic Konopi,
Zostawszy w mieście właścicielem domu,
Niemógł poradzić trosce co go kropi —
I przewyciężyć kłopotów ogromu —
Z żalu i smutku po głowie się drapie,
Jak nagły fernal, na leniwej szkapie —

I cóż się niema po łysinie drapać?
Gdy wszędzie pustki, wszędzie niedobory,
Woda zaczyna przez sufity kapać
Dachy naprawiać! krzyczą lokatory —
Piece przestawiać! stare i fatalne,
Bo zawiesimy opłaty kwartalne —

Lecz jak tu radzić w kłopotcie niestety!
Jak pobić dachy — zreperować piece?
Kiedy tu ciąży — Jezus — gwałtu — rety!
Już wymagalny dług na hypotecę? —
Jak się nie spłaci to przyjdzie subhasta,
Doczeka Filip ex-misji i basta. —

Gdy mu od myśli spuściła się głowa,
Gdy medytuje nad zbyt ciężkim czasem,
Ze łzami w oczach wpada Filipowa,
Z krzykiem, klekotem, hałasem, tartasem,
A rozgniewana do Filipa rzecze:
— „Cóżesz ty zrobił, mizerny człowiecze?!—”

— „Jestem zgubiona, stracona na świecie!
Miały być wielkie honory, parada,
Konie arabskie — herby na karecie,
Cześć dla szlachcianki z dziada i pradziada —
A tu, nie znijdą z chodnika kobiecie,
Jak nie ma rubli w swojej portmonecie—”

— „O moje kury! — gęsi i indyki!
Kaczki — kapłony — koguty — prosiaki!
Chociaż na wasze gniewałem się krzyki,
Ależ z was miałem dochód jaki taki —
Nie będę mogła tego przeżałować,
Że was nie mogę w kamienicy chować—”

— „Miałam mieć w mieście różne przyjemności,
Po wiejskiej pracy ulżoną fatygę,
Wieczorem teatr — albo licznych gości,
Bale i rauty — a tu co mam? — figę! —
Cała przyjemność gdy się kładę w łóżko,
Karaluch w kołdrze a szczur pod poduszką—”

Na to pan Filip rzecze swój niewieście,
— „Przyszedł, za późno, rozsądek do głowy,
Chciałaś koniecznie osiedlić się w mieście,
I usłuchałaś faktora namowy —
A ja mu za to, że nas tak oskubli,
Jeszcze dodałem przeszło tysiąc rubli.—”

— „Nie faktor winien prawda oczywista,
Bo dziś faktorów pełno w Europie,
Ale ten Heród — łotr fortepianista,
Co nas oszukał i wydarł Konopie —
Prędzój mi włosy wyrosną na dłoni
Nim teściem syna będzie pan Antoni—”

— „Ani wspominaj moja pani o tem!”
Krzyknął pan Filip — „czołem przed mym synem!
Choćby swą córkę, całą okrył złotem,
Niechaj zostanie lepiej Kapucynem —

Niech mu za pokarm służy chleb i woda
Zięciem nie będzie takiego Heroda!—”

— „Chociażby nawet dopomogła Muza,
Gryzmołacemu słowa tej ramoty,
Fortepianistka dostanie arbuza,
Podług méj woli — podług méj ochoty —
Chociażby autor na parnas się dostał,
I z Ex-Bociana — Ex-Homerem został —”

Niebój się chłopcze! — mam ja na to radę,
I myśl od dawna z rozwagą ukutą,
Nie do parnasu — do piekła pojedę,
Przybędę na grunt z poczciwym Borutą —
Mimo uporu i złości zażartej,
Weźmiesz dziewczynę! — o czem w pieśni czwartej.—

Pieśń IV.

Gdy się to działo na placzu padole,
A faciendziarze zginęli z kretesem,
Mówili w piekle że zalegli pole,
Djabeł Wenecki z Mefistofelesem —
Aby więc pewnych wiadomości dostać,
Kazał Lucyper po Borutę posłać. —

Przybył Boruta i skłonił się nisko,
Pyta Lucyper — „Co nie widać posłów?
Czekam na raport już dwa lata blisko,
A sprawozdania niemam od tych osłów!—
O dobrym skutku mam nadzieje słabe,
Pewno za rybę — ułowili żabę.—”

— „Cny padyszachu! jest w tem dosyć racyj,
Bo włos i niemiec źle się popisali,
Nie będzie w piekle żadnej satysfakcyj,
Chociaż kręcili — nie źle szachrowali —
Źle się spisali zacni delegaci,
Niębo dostanie — piekło dusze straci.—”

— „Chłopiec z dziewczyną kochali się strasznie,
Oni zrobiwszy najgłupsze faciendy,
Rozwiedli parę i dla tego właśnie,
Niezasługują na najmniejsze względy, —
Bo z tego będą przygnębieni czynem,
Dziewczę Szarytką — chłopak Kapucynem.—”

— „Masz tobie djabła! ale nie wujenkę! —
Krzyknął Lucyfer — „Nikczemnicy podli!
Dziewczyzna wdzieje zakonną sukienkę,
I odpuszczenie dla wszystkich wymodli —
Ruszaj że Wasze! kiedy taki skweres,
I swoją głową napraw zły interes —”

Dzielny Boruta, skończywszy audjencję,
Pędząc na ziemię po komety tropie
Wraz z manatkami i plenipotencją
Za parę godzin był już w Europie —
A dla powagi, splendoru, ambicyj
Wziął na się postać — Hrabiego z Galicyj —

Gdy rozpoczynał Boruta swój komis,
Filip z Antonim chcąc interes dobić,
Chcieli swe sprawy oddać na kompromis
Lecz nie wiedzieli, kogo sędzią zrobić —
Przystali w końcu, że węzeł Gordyjski,
Rozwiąże dobrze Hrabia Galicyjski. —

Przybył Boruta na sąd ostateczny,
Z miną poważną, dumną, zamaszystą,
Dla wszystkich, miły, uprzejmy i grzeczny,
Dobrze zajada a pije siarczysto —
A przytém słucha, jednej, drugiej strony,
Różnych dowodów, faktów i obrony, —

Zjadłszy indyka — gdy już ogryzł kości,
Rzecz Boruta! — „Rzecz jest oczywista,
Głupiec z Waszeci i głupiec z Waszmości!
Tyś jest szlachcicem — tyś fortepianista —
Ty bąki zbijasz niepotrzebnie w mieście,
A ty znów na wsi, siedzisz jak w areszcie. —”

— „Podłe faktory dmuchnęły wam w kaszę,
Chcieliście zgubić Mości Dobrodzieju!
Dla kłótni, zemsty — nawet dzieci wasze,
Nie mając w głowach kropelki oleju —
Chociaż nie warte, wszystkie wasze sprzeczki,
Niucha tabaki — ani torby sieczki! —”

— „Wydaję wyrok w instancyj ostatniej,
Żadnej od niego niema apelacyj,
Po uściśnieniu szczerem ręki bratniej,
Bez żadnych uwag — zaraz po kolacyj —
Aby naprawić głupie wasze czyny,
Zrobimy dzieci waszych zaręczyny! —”

- „Gwałtu!” — zawoła pani Filipowa,
Na te wiadomość nieszczęsną i srogą —
I Antoniewę zaboląła głowa,
Ale Boruta silnie tupnął nogą,
I krzyknął: — „Cicho!” — zadrzały podwoje,
Szyby zabrzękły — komin pękł na dwoje —
- Umilkli wszyscy — jak spłoszone wróble,
Boruta kazał stanąć młodej parze,
— „Słuchajcie dzieci! — wróćcie mi trzy ruble,
A ja wam daje los co wygra w darze —
Bo ja wiem dobrze panowie i panie!
Co było kiedyś — co jest — co się stanie —”
- „Jak na loteryi gruby grosz wygracie,
Drogiego czasu nie trzeba wam tracić,
Zaraz po ślubie na wsi osiąść macie,
Z wsi, kamienicy, wszystkie długie spłacić —
Filip z Antonim pojedą do miasta,
Na tém zakończęm mój wyrok i basta! —”
- „Jeśli go słuchać niema kto ochoty,
Jeśli kto chętkę do oporu czuje,
To ja go spełnię co do jednej joty,
Przyjadę na grunt i wyekseknuje —
Bo słowa moje, nie są żadną błagą! —”
Sklonił się nisko i wyszedł z powagą. —

E p i l o g.

Wygrał los djabła — bardzo naturalnie,
Wszędzie swoboda, radość, zgoda święta,
Bo się kompromis skończył kapitalnie,
Dzieci rodzicom płacą alimenty —
Mefistofeles związany w powrozy,
Z djabłem weneckim wsadzeni do kozy —

Filip z Antonim buzi sobie dają,
Gwarzą wesoło przy wspólnej kolacyj,
Kłócą się tylko, gdy w preferka grają,
Bo by nie było żadnej satysfakcyj —
Gdy wielki nieuk pan Filip Dobrodziej,
Wciąż od drugiego króla im wychodzi. —

Jedynak z żoną swoją jedynaczką,
W krótkie rodziców wnukami obdarza.

Matki się w mieście częstują tabaczką,
Z gośćmi w salonie bawią się i gwarzą —
W raj się zmieniła nieszczęsna pokuta,
Bo dobrze sprawę osądził Boruta. —

Szlachcie powinien pracować na roli,
I niepogardzać ojców chatą starą,
Chociaż go serce niekiedy zaboli,
Znosić krzyż ciężki z nadzieją i wiarą, —
Że Pan Bóg zawsze pod uczciwą strzechę,
Zsyła, pomyślność radość i pociechę. —

Rzemieślnik, chociaż dorobi się mienia,
Przez pracę, handel lub inne obroty,
Powinien deptać kółko przeznaczenia
Zachować dawne staropolskie cnoty —
Wierząc — że tylko uczynki szlachetne,
Dają honory i znaczenie świetne. —

Nieźle uczucie i przymioty w djable,
Zawsze krew polska i ochota szczerza;
Na chytrych łotrów wydobędzie szablę,
Chociażby nawet okpił Lucypera —
I niedostawił żadnej piekłu duszy,
Splendoru swego klejnotu nie ruszy. —

Koniec ramoty — pragnąłem ja szczerze,
Życzeniom moim chcąc uczynić zadość,
Dać Ci artysto! coś więcej w ofierze,
Ale wiesz o tém, że starość nie radość,
Gdy i Muz pomoc nie mi już nie nada,
Czem chata można — tem Ci też i rada. —

K O N I E C .

w Mzurowie d. 15 Maja 1880 r.

SKARGA PSÓW

DO

TOWARZYSTWA MYŚLIWYCH.

Kiedy żył jeszcze Adam z Ewą w raju,
Niebyło nigdy takiego zwyczaju,
Ażeby ogar za zającem gonił,
Lub jeleń z sarną po lasach się chronił,
Bo wszystko żyło w przyjaźni i zgodzie—
Dziś, przy postępie i przy nowej modzie,
Głupstwa się robią—niema o czem gadać,
Wszyscy wzajemnie pragną się pozjadać,
Bo każdy tylko własną rzepę skrobie,
Kpi z bliźnich swoich a myśli o sobie—
Z tego powodu w czasach nieszczęśliwych,
Zeszła się razem gromada myśliwych,
A chcąc zjeść sami zwierzyny ostatek,
Na nas psów biednych włożyła podatek—
Powiedźcie państwo! — kto was prosił o to,
Ażeby ogar przez piachy i błoto,
Głodny, mizerny, ubogi i bosy,
Dla waszych zysków wydobywał głosy?
A wy bogaci, zdrowi, najedzeni,
Mając gorzałkę i szynkę w kieszeni,
Wciąż polowali ku swojej wygodzie,
Kaząc nam czekać za zwierzem o głodzie,
Abyście sami tylko jedli, pili
Wy się wypaśli a my ledwo żyli? —
Proszę Waszmościów! niech nam który powie,
Po co u czorta uganiać chartowi?
Wśród ciężkiej drogi wiatru i gorąca,
Kiedy myśliwy pożera zająca,
A wydobywszy porządnego knuta
Daje w nagrodę, słoniny pół łuta —
Zacni panowie! raczcie mi darować,
Po co wyłłowi każecie warować?
Kiedy z was każdy, jak pieczeń poczuje,
Chwyta widelec i sam nie waruje? —

Właśnie w tym czasie pan Jan ze wsi Biały,
Zdrowy i tłusty — tęgi okazały,
Co sam już pożarł może stu zajęcy,
Kuropatw, krzyków, tysięcy razy więcej,
Największy smakosz w całej okolicy,
Co więcej użył jaj do jajecznicy,
Jak na dnie morskim jest ziarneczek piasku—
Strasznie się zgniewał i narobił wrzasku,
Że my po polach ciągle się włóczymy,
I ciężkich klocków nigdy nienosimy—
A jako członek myśliwski z urzędu,
W łby nam chce strzelać, bez żadnego względu
Prosimy panów! bardzo uniżenie
Czy to jest prawo czy on ma sumienie?
Kiedy go proszą w sąsiedztwo na balik,
Kłudzcie fraczywo — zawięzuje szalik,
Na swą głowiznę pomady nakładzie,
Aby wystąpił w największej paradzie—
I u psów także. zaręczamy śmieie,
Jest czasem balik, kulik lub wesele,
Każdy w zabawie chce wypełniać służbę
Lecz jakże z klockiem przybędzie za drużbę?
Jak będzie tańczył polkę lub gawota?
Chęć go odejdzie, wesołość, ochota,
Bo woli leżeć i spać w nędznej budzie,
Kiedy tak pragną — gdy tego chcą ludzie.—

.

Nie jedna dama — cudnie się ubiera,
Krzyczy, hałasi, rządzi, płacze gdera,
Nie mając żadnych w swych zachceniach granic,
Wszystkich uwielbia — a męża ma za nic —
Dla czego panie, co za głupstwem dążą
Tak jak psy klocków sobie niewiążą? —
I pan nie jeden, choć pacholek chudy,
Co pałac robi z mizernej swjej budy,
A chce żyć w świecie gdyby wielki książę,
Dla czego sobie klocka niewiąże? —
Albo Dobrodziej, lisek, Jezuita,
Wrzeszczy z ambony, ani się nie pyta,
Że to nie tędy ku niebiosom droga,
Że tak niemożna okpić Pana Boga —
Że słowo Boże — nie Dawida proca,
Dla czego sobie nie niewiąże klocka? —
Dla czego Moški, Abramy i Joski,
Co krew ostatnią wysysają z wioski,
I jak szerszenie w koło ula krążą,
Dla czego sobie klocków nie uwiążą? —

Psy tylko jedne, powiem wam otwarcie,
Co ich dla straży stawiacie na warcie,
Pies tylko jeden, wierny i uczynny,
Pies przywiązany — on tylko jest winny —
O! gdyby Stwórca, co psa także stworzył,
Sąd sprawiedliwy na ziemi otworzył,
Z Warszawy, Suwałk, Lublina czy Płocka,
Pewnoby człowiek nie uniknął klocka,
Aby go skrapiał pokutnymi łzami,
I za pokutę — nosił razem z psami —
Z takich powodów słuszną mając rację, —
Śmiemy założyć naszą apelację,
I z zasad prawnych, słusznych, sprawiedliwych,
Prosić pokornie szanownych myśliwych,
Ażeby było równouprawnienie,
Bankier czy golec — hrabia, chłop czy kupiec,
Biedny — bogaty — uczony czy głupiec,
Jak tylko w życiu krzywą drogą dążą,
Niech sobie zaraz grube klocki wiążą —
Póki się cenić życia nienauczą,
Niech je za sobą, ciągle jak psy włóczą.

w Mzurowie dnia 10 Maja 1870 r.

ZAKŁĘTE SKARBY

Stara Gawęda.

Za dawnych czasów — niewiem w której stronie,
W ciemnej jaskini na odludnem polu,
Leżały skarby po królowej Bonie
Których nie mogła wiaść do Neapolu —
Było tam złoto, srebro, diamenty,
A strzegł ich djabeł — bo skarb był zaklęty.

Wiedzieli ludzie, tak starzy jak młodzi,
Co się znajduje pod ziemią ukryte,
Wiedział poczciwy, wiedział każdy złodziej,
Że tam bogactwa bardzo znakomite —
Nie raz w rozmowie ludzie przysięgali,
Że widywali, jak się ów skarb pali.

Nie jeden ojciec i nie jedna matka,
Myśleli o nim, szczerze i uparcie,
Ale cóż z tego? — gdy chodziła gadka,
Że czart przeklęty stoi tam na warcie —
A kto tych skarbów nie bacznie poruszy
Zaraz do piekła porwie go za uszy.

Kiepski interes! — kochani panowie!
Gdy jeszcze bieda zacznie człeka chłostać,
Każdy przemyśla drapiąc się po głowie,
Jakim sposobem można złota dostać —
Bo jak skarb wielki w jedną kieszeń skupi,
To może w piekle i djabła przekupi.

Święta miłości! kochanego złota,
Czują cię tylko umysły pocziwe,
Dla ciebie niczem, miłość, wiara, cnota,
Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe,
Byle cię tylko chwycić, byle dostać,
Nie żal się zbłaźnić, nie żal szelmą zostać.

W karczmie pod lasem, od samego rana,
Wyprawiał chłopiec wesele czy chrzciny,
Śpiewano sobie — dana moja dana,
Muzyka grała — tęgie były miny —
Dziewki tańczyły — spały baby stare,
A młody Wojtek — hasał w pierwszą parę.

A był ów Wojtek siarczysty parobek,
Wszystko się na nim od czystości mieni,
Lecz choć pracował — chodził na zarobek,
Zawsze miał pustkę i dziurę w kieszeni —
Przytém nieborak strasznie kręcił głową,
Bo bardzo kochał Kaśkę sołtysową —

I teraz właśnie na chrzcinach z nią hasa,
Śmiało z ochotą, podkówkami brzęka,
Lecz ojciec mówi — „Nie dla psa kielbasa!”
Biędnemu chłopcu — serce z żalu pęka —
Choć szczerze prosi — stary nieugięty,
Bo Wojtek goły, jak turecki święty —

Kiedy z ochoty ludzie do dom wyszli,
I wszyscy poszli, każdy w swoje strony,
W nocy pod lasem, Wojtek sobie myśli,
Czyby nie zajrzeć do królowej Bony? —
Wszyscy to widzą i wszyscy pojmują,
Nie taki djabeł, jak nam go malują —

Zebrał odwagę — mając chęci szczerę,
Akurat była godzina dwunasta,
Poprawił sobie na bakier magierę,
Rzekł: — „pójdę śmiało do djabła i basta! —
A jeżeli Pan Bóg da, że tam niezginę
To ukochaną dostanę dziewczynę. —”

Zrazu szedł śmiało, zrobiwszy znak krzyża,
Miłość przemogła strach i utrapienie,
Lecz im się więcej do jaskini zbliża,
Tém co raz więcej trapi go sunienie —
Pomyślał sobie — skarbu nie poruszę
Tylko zobaczę i ocalę duszę. —

Wszedł tedy śmiało do zaklętj jamy,
Idzie i idzie — więcej jak pół mili,
W tém, na raz jeden otwarły się bramy,
I wielkie skarby ujrzał w jednej chwili —
Złoto we worach — brylanty z perłami,
Błyszczały wszędzie pod jego nogami. —

Walczy mu w duszy, to miłość, to trwoga,
Widzi przed sobą wielkie kupy złota,
Ale pokornie westchnawszy do Boga,
Nie chciał nic zabrać — zwyciężyła cnota —
— „Kocham dziewczynę! dałbym za nią duszę,
Lecz Bóg zabronił — więc skarbów nieruszę. —”

Opuszcza otchłań, przyspieszając kroku,
Trochę strapiony i z licem wybladłem,
Miał już wychodzić — w tem przy drzwiach na boku
Spostrzega buty — smarowane sadłem —
Cholewy długie — wszystko nowiusieńkie,
Podkówki z stali — wiechcie świeżuteńkie. —

Stanął jak wryty — i tak sobie gwarzy;
Przecież bywałem w różnych okolicach,
Lecz takich butów, znaleźć się niezdarzy,
I na jarmarku, nawet w Proszowicach —
Dość się tu człowiek biędny nafrasował,
Przecież by djabeł butów nie pilnował. —

Niedługo myśląc — chwycił za cholewy,
I dalej w nogi — w tém strasznie zagrzmiało,
Wicher wydzierał z pniem drzewa i krzewy,
Z nieba jak z cebra — jak łało, tak łało —

Piorun uderzył — skarby się zapadły,
Wojtek do chaty — wpadł siny, wybladły. —

Szczęście że wrócił zdrów, czerstwy i cały,
Z poczciwym sercem — nieskalaną duszą,
Wszystkie kumosi na wsi powiadały,
Że z sołtysianką wyswatać go muszą —
A sołtys widząc chłopca z tęgą miną,
Pozwolił na ślub z córką Katarzyną. —

I na tém koniec! — ludzie powiadają,
Co zawsze idą w życiu prawdy drogą,
Prawnuki Wojtka jeszcze buty mają,
I w żaden sposób zedrzeć ich nie mogą —
Cholewy mocne, prawie nie przeżyte,
Chociaż już były sto razy podszyte.

w Mzurowie d. 17 Czerwca 1869 r.

KONKURS NA KARNAWAŁ

PREZENT

DLA MOICH MŁODYCH SĄSIADK.

Wszystko się na tym świecie gotowizną płaci,
W dzisiejszych ciężkich czasach, biedni, czy bogaci,
Blondyni czy bruneci — okryci siwizną,
Wzdychają w dzień i w nocy wciąż za gotowizną —
Niema pomiędzy nami srebra ani złota,
Musi tedy poeta westchnąć do banknota,
I swoje wzniosłe rymy ofiarować czule,
Nie złotu ani srebru, lecz nędznej bibule —
Ty! z wodnemi znakami papiereczku wietki,
Coś razem z sobą przyniósł światu portmonetki,
Wygwizdawszy niezgrabne trzosi nasze stare,
Tobie dzisiaj oddaje odę na ofiarę —
Dawniej — gdy o postępie ludziom się nie śniło,
Ledwo sto w obie dłonie złotych się zmieściło,
Dziś, drobna mała rączka, co się z kwiatkiem pieści,
W malutkie dwa paluszki, tysiące ich zmieści —
Dawniej — to było monet największą przywarą,
Że człowiek licząc, walał palce pleśnią starą,
Dzisiaj ta wielka wada odsunięta właśnie,
Poślini się paluszek -- pare razy chlaśnie,
I wnet jest, pięćset, tysiąc i dziesięć tysięcy —
Dzisiaj drogiego czasu, — zyskujemy więcej,
Do pracy, do nauki, do złego poprawy —
Do zabaw i rozrywek —
. *Ex re téj zabawy* —
Bo to już taki zwyczaj w każdym karnawale
Że kto się szczerze bawi, ten nie grzeszy wcale
Chciałbym trochę pogwarzyć czytelniczki moje!
I oddać pod rozwałę propozycje moje!
Już od lat kilkunastu, gdy się zjadą goście,
Proszeni czy z ochoty — w karnawał czy w poście,
Czy ich kilkanaście, czy też wielka masa,
Damy idą do Sasa — mężczyźni do lasa —
To jest: młode panienki idą grać i śpiewać,
Babki matki, wujenki na kanapach ziewać,
Dziadki na preferansa — tatkowie na sztosa.
A wnuki i synkowie, kurzyć papierosa —

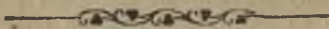
Więc tedy — cóż więc tedy?... Każdy wydział sobie
Jak to mówi przysłowie, rzepkę swoją skrobie,
Nudzą się wysmienicie — jeśli jest gotowy,
Taki jak ja naprzykład, rymarz powiatowy,
Dla rozerwania nudów, za powszechną zgodą,
Bawić musi z urzędu gości szumną odą —
Wydobywa więc papier z powagą i gracją,
A kiedy introdukcja zaczyna oracją,
Babcie drzemią — gdy oda do końca przychodzi,
Morfeusz z wielką pompą do salonu wchodzi —
Wiekopomny poeta — co błądzi pod słońcem,
Gdy ma odę zakończyć najwspanialszym końcem,
Chudemu Pegazawi dobrze boki łoi,
I już przy wielkiej sławie na parnacie stoi,
Widząc, że wszystkie Muzy w objęcia go łapią,
Schyla głowę po laury — a tu wszyscy chrapia! —
Masz tobie! — już po sławie, i już po zaszczycie,
I już po preferansie, sztosie i wizycie. —

.
Musi to być potrzebny i dobry ów taniec,
Kiedy nawet Hottentot, murzyn i poganiec,
Chińczyki, meksykańie, nawet Eskimosy,
Czy nagi czy okryty obuty czy bosi,
Czy z pałacu czy z chaty — z szałasu czy z lasa,
Na całym Bożym świecie, jak umie tak hasa —
Ba! nawet mądry niemiec, co ludziom nie sprzyja,
O! mein lieber Augustin! jak może wywija,
Pragnąc aby tańczyły za jego muzyką,
Europa z Australją, Azja z Ameryką —
Wszędzie mamy dostatek wybornych danserów,
Kiedy więc za granicą najmują klakierów,
Co za małą nagrodą donośnie i żwawo,
Biją za bankocetel niedołęgom brawo!
Dla czegożby niemogły piękne polki nasze,
Sprowadzić sobie radość pod ciche poddasze,
A kiedy za granicą za ów pieniądz drogi
Kupią łąpy klaskaczy — kupcie panie nogi —
Bo na cóż mamy wiecznie nudzić się i płakać,
Kiedy niechce za darmo młodzieniec poskakać,
I woli czas mu drogi wciąż na niczem tracić,
To trzeba za wesołość dobrze mu zapłacić —
Smutek ciągly z pewnością stać się może grzechem,
Serce śmieliej uderza, gdy bije z uśmiechem,
Ludzie o zmartwienie bliźnich swoich stoją,
Zwykli zawsze z łez szdyzić — uśmiechu się boją. —
Jak wyżej powiedziałem, pokolenie nowe,
Kocha, lubi szanuje świstki bibułowe,

Bo na nich się opiera postępek w świecie wszelki —
Gdyby panie złożyły choć po trzy rubelki,
I ogłosiły konkurs — że który z młodzieży,
Najochotniej do tańca i pierwszy pobieży,
A kiedy grajki zarzną wesołego tańca,
Ani na jedną chwilę nie zajrzy do lanca,
I będzie trzymał chętkę do sztosa w areszcie
Dostanie jako premium — złotych polskich dwieście —
Drugi po nim, sto złotych, weźmie w akcesycie,
Co choć czasem na chwilkę dostawi się skrycie,
Tak, na upatrzonego do lanca lub sztosa,
I puknie raz, dwa razy w kącie papierosa,
Ale jak tylko w sali rozpocznie się granie
Z szczerą, żwawą ochotą — jest na zawołanie. —
Trzecią weźmie nagrodę ten danser z kolei,
Co się choć po północy tańcem rozweseli,
A za to, że się zawiódł na dysce i asie,
Choć nie raczył podskakać we właściwym czasie,
Że biédaka cokolwiek z fortuny oskubli
Na pociechę — tak z łaski — dać mu — choć pięć rubli. —

• • • • •
Gdy się panie w tym względzie wzajemnie poznoszą,
Konkurs przez jaki prospekt publicznie ogłoszą,
A propozycja moja, dobrze wam się uda,
Wesołość znów powróci, rozpędzi się nuda,
Bukiecik z pięknych kwiatków, gdy mi która poda,
Będzie to dla poety największa nagroda, —
Ale — zważywszy rzeczy — mówiąc tu w nawiasie
Trudno najeść się kwiatkiem w takim ciężkim czasie —
Jak mówią — co jest prawem jest podobno świętem —
Więc i skromny poeta nie gardzi procentem —
A wzdychając do grosza z bukietem się pieści —
Gdybyście panie dały, choć od sta trzydzieści,
Niemówiąc nic młodzieńcom — za rady wyborne,
Wziąłbym — ale w sekrecie — od was za faktorne. —

w Mzurowie d. 1 Stycznia 1861 r.



ROZBÓJNICY SALONOWI.

Gawęda Humorystyczna.

Nadszedł wiek postępowy — niema dawnych czasów,
Kiedy wśród gruzów, zwalisk, skał, borów i lasów,
W jakim starem zamczysku lub ciemnej jaskini,
Przestraszał Fra-Djavoło albo Rinaldini —
Dziś Zampie występować niestósowna pora,
Niema Schillerowskiego między nami Moora.
Bo dzisiaj wypisano na postępu karcie,
Że niewolno zabijać nikomu otwarcie —
Jakby zbój, co mi piersi sztyletem przeszycie,
Albo pałąk wśród lasu od razu zabije,
Był większym rozbójnikiem od złego Kaina,
Co powoli swych bliźnich moralnie zarzyna —
W starych zbójach, serdeczność nawet wykołaczysz,
Moor mówił do kochanki: — Amalio! ty płaczesz?
A kiedy przeszył szpadą pierś swego anioła,
Upada na kolana i do Boga woła —
Dziś nie ma starych zbójców, ale mamy nowych,
W naszyjnikach krochmalnych, w pancerzach pikowych,
Co razem z swą ofiarą Bogu cześć oddają,
A powoli jój serce, tępym nożem kraja —
Pochowano sztylety, pałki i maczugi,
Nie leją się, zbrodniczo wylane krwi strugi,
Krew się całkiem nie broczy — ale się łyżę leją,
Wyciśnięte przez ludzi, co się z tych łez śmieją.

Darujcie najlaskawiej humorowi złemu,
Napisałem z goryczą — niewinieniem temu,
Bo człek dosyć już widział i przecierpiał wiele, —
Lecz jeszcze stary humor, siłą rozweselię,
Choć na wstępie pisałem, że się zbrodnią brzydzę,
Niepotępię jój jeszcze — tylko ją wyszydzę —
Bo w wieku postępowym czułym i serdecznym,
Trzeba być elegantem i koniecznie grzecznym —.

Dopókiśmy grywali w kiksa i marjasza,
Dopóki pożywieniem był zraz, bigos, kasza,
Wieśniak zadowolniony z małego dostatku,
Dodzierał stary żupan po swoim pradziadku —
Był czas bardzo szczęśliwy, uczciwy i błogi,
Żaba nienadstawiała do okucia nogi,

Dosyć miło, szczęśliwie, schodził wiek za wiekiem,
Ludzie ludźmi—a człowiek był zawsze człowiekiem—
Od czasu, jak francuzkie modne fanfarony,
Wprowadziły preferka, sztosy, faraony,
Do ubrania żakiety, kapelusze z Panamy,
Obrepcze z stali kute, dla wydecia damy,
Dla pokarmu ostrygi i jaskółcze gniazda,
Inna zupełnie w życiu zaczęła się jazda—
Jedziemy! z gałopady człek rad i szczęśliwy,
Kurzy się dym z głów naszych jak z lekomotywy,
W nadzwyczajnej szybkości, w postępowym dymie,
Wszystko stare, poczciwe, marnieje, i ginie—
Tym czasem rozbójnicy wśród naszych salonów,
Udając nietoperzy, dudków i gawronów,
Przybliżają się ze wsząd, z każdej prawie strony,
I w serca najzacniejsze, zapuszczają szpony
Tak w sercach jak w kieszeniach, szukają plądrują,
A co się tam znajduje — jak mogą rabują—
Tu we fraku, w lakierkach, choć mu idzie twardo,
Łże, przysięgając miłość dziewczęciu Rinaldo —
Tam, uzbroiwszy sobie jedno oko w szkielek,
W miejsce pałki lub noża, z szampańską butelką
Za zielonym stolikiem stoi Fra-Djavelo,
I pyta się zuchwale młokosów — co wołają?
Pieniądze albo życie!? — lansa lub sztosika?—
Tu się znów w kuszej kurcie. pan Zampa przymyka,
I głosem wielkich niecnót i niesumienności,
Każdej chwili drze bliźnich a drze bez litości —
Dla czego drżysz? — przemawia — kochanek cię błaga!
Jak niema drzeć ofiara odarta i naga?
Tu znów woła rozbójnik udający Moora,
Amalio! czego płaczesz? — czyś słaba, czy chora?
Gdybym mógł twym posagiem mój dochód pomnożyć,
Pisałbym jeszcze więcej — lecz się muszę trwożyć,
Żeby i mnie nieprzyszła chętka do rozboju,
Lepiej więc smutny żywot zakończyć w pokoju,
I nowych rozbójników z wami niepokłócić,
Wolę więc Czytelnicy — liche pióro rzucić,
I iść spać — bom was może gadaniną znudził,
Obym z weselszą myślą dla was się obudził.—

Mzurów d. 31 Lipca 1860 r.

GDERANIE I POLOWANIE

Odpowiedź na zapytanie moich sąsiadów.

Krótkie — krótkie nasze życie,
Ledwo błysnie nam o świcie,
Tak, jak gdyby z bicia trzasnął,
Człek żyć zaczął i już zgasnął —
Idąc zatem zwykłą modą,
Zyjmy sercem, zyjmy zgodą,
Aby, jak się życie przesni,
Po żywota przykrym trudzie,
Jednym chórem, jednej pieśni,
Boga pochwalili ludzie. —

Nie raz wam powiedziałem, że u mnie nie stulnia,
Abym z niej rymy ciągnął, tak jak wiadrem wodę,
Dla tego na pytanie z ostatnich dni Grudnia,
W odpowiedzi dzisiejszą stylizuję odę —
Trudno sądzić małżonków — każdy to pojmuje,
Między wami jęk mówią zginęła siekiera,
Skarżysz pani małżonka że ciągle poluje,
On znów żali się strasznie, że pani wciąż gdera —
Dałem wam trzy miesiące do namysłu czasu,
Znów się dzisiaj skarżycie na te same winy,
Nieprzestajecie państwo łowów i hałasu,
Muszę więc wydać wyrok — jako wasz wójt gminy. —

Chodź ze mną, panie Janie, pod odwieczne drzewo,
Gdzie w pokoju i zgodzie, żyli Adam z Ewą,
Było tam dość zajęcy, jeleni, sarn, dzików,
Kuropatw i cietrzewi — bekasów i krzyków,
Jednakże, zasiągnąwszy historyków zdania
Niebyło tam obławy, ani polowania
Wszędzie była spokojność na tym starym globie,
Strzelcy chodzili sobie a zwierzyna sobie. —
Na pięknie ubarwionej zielonością łące,
Z chartami, ogarami igrały zajęce, —
Dziś w takim ciężkim czasie, co z myśliwstwa słynie,
Godziny biedny zając nie prześpi w kotlinie,
Polujemy namiętnie — zobaczywszy człeka,
Zajęczyna z pod miedzy, budzi się, ucieka
I gonia zaspanego ogary i charty,
Bo człowiek w swym nałogu twardy i uparty —
Mniejsza z resztą o kota — lecz niewiem dla czego,
Goni z takim zapalem wciąż bliźni bliźniego?
I jeden do drugiego strzelamy nawzajem. —
Od nieszczęśliwej ziemi, co miała być rajem,

Widząc przez złych myśliwych rozpuszczone smycze,
Bóg dobry, najłaskawsze odwraca oblicze —
Skarży się twoja żona, mój sąsiedzie Janie,
Na ciągłą wagabundę i na polowanie, —
Ty bardzo naturalnie, bardzo oczywiście,
Skarżysz się na małżonkę w powtórnym już liście,
Przyrzekasz, że nie weźmiesz w rękę dubeltówki,
Jeżeli mniej będzie swarów, gderań i wymówki. —

.

Łaskawa Dobrodziejko! na mizernym świecie,
Wiele i bardzo wiele Bóg zlecił kobiecie,
Ów świat, w którym żyjemy, zbyt szczupły i mały,
Kilka włok polskiej ziemi — nasz majątek cały,
Na nię w nocy i we dnie przy pracy i trudzie,
By zyskać chleb powszedni, wciąż pracują ludzie,
Pracują i pracują — życie się przegoni,
Gdy dzwonek parafialny na śmierć nam zadzwoni.
Jeżeli uczciwem życiem zasłużymy sobie,
Najwspanialszym pomnikiem — lży na naszym grobie —
Jeżeli taką nagrodę pragniemy odbierać
Nie trzeba łez wyciskać, tylko je obcierać.
Pomędzy świat i niebo obowiązki dzielić,
By się mógł świat radować i niebo weselić —
U nas moja sąsiadko! inaczej się dzieje,
Kradniemy miłość Boską, jak nędzni złodzieje,
A stosując uczucie do zwyczaju, mody,
Żyjemy bez nadziei, bez szczęścia i zgody —
Lecz to mówię nawiasem — wracam do gderania,
Wymawiasz małżonkowi chęć do polowania,
Łaskawa Dobrodziejko! on tobie nawzajem,
Nawzajem się kłócimy, wzajemnie się łajem.
A z tego? — i cóż z tego? — wszak prawda niestety!
Że zawsze zbyt surowo sądzą nas kobiety. —
Bo to małżonek naszych, taka już natura,
Że jeżeli ich pożycie zaćmi jaka chmura,
Szukając w utrapieniu powodu i zdrajcy,
Mąż musi pokutować za czyn winowajcy —
Ale, taki już zwyczaj, deszcz pada, grad pada,
Męża mojego wina — każda to powiada,
Piec dymi lub wiatr silny rwie liście po świecie,
Męża mojego wina — każda sobie plecie —
Jak powiada Krasicki — że wszystkiemu złemu,
Choć pieje akuratnie, kogut winien temu —
On winien gdy pogoda — on gdy przyjdzie chmura,
Bo taki wyrok daje każda prawie kura, —
Idąc na śmierć nieborak, gdy życie ocenił.
Dobrze mi tak powiada, kiedym się ożenił. . .

Czasem między małżeństwem wszczynają się sprzeczki,
Z przyczyny co niewarta ani torby sieczki
Często, z bardzo małego, błachego powodu,
Najzacniejsze małżeństwo idzie do rozvodu,
A dzieci, patrząc na to, kiedy przyjdą w lata,
Tak samo postępują jak mama i tata. —
Więc tedy, gdy mąż winien, na gniew i wymówkę
Woła wyżła Bekasa — bierze dubeltówkę,
A umykając z domu — w takich ciężkich czasach,
Musi się mścić na kaczkach albo na bekasach. —

Gdybym był Syrokomlą lub Lenartowiczem,
Trzasnąłbym nad Pegazem, tak jak oni biczem,
I za jednym zamachem, ostro bez popasu,
Grzmiał po wyrok małżeński dla was do parnasu —
Kochani małżonkowie! — mój Pegaz schwacony,
Choć mu boki obrabiam z jednej, z drugiej strony,
Stoi silnie na miejscu — tylko świnię czasem,
A ja się nie zobaczę już nigdy z parnasem.
Lecz dla was moi państwo! na leniwęj szkapie,
Chociaż drobnym truchcikiem do góry podrapię,
Stary gderacz — co pragnie w smutku was weselić,
I zawsze szczerem sercem z wami się podzielić —
Lecz owej serdeczności, jakże mogę dowieść?
Choćbym z siebie wymęczył jaką długą powieść,
To pewno w czwartym tomie, na ostatnim krańcu,
Pewnobym się tak spisał, jak pan Grabski w tańcu.
I wyrwał z jakim głupstwem, jak Filip z konopi —
Że zaś za to krytyka doskonale kropi,
Unikając dla siebie kary i hałasów,
Niemogąc naśladować Suów i Dumasów.
Kiedy dla mnie nie jasno zaświtało zorze,
Musi człowiek tak orać, jak najlepiej może —
Kończę więc gadanie mój sąsiedzie Janie!
I w tych kilku wyrazach objawiam ci zdanie:
Za otwartość sąsiedzką raczcie mi darować,
Radzę ci panie Janie nie ciągle polować,
A pani Dobrodziejce mniej gwarzyć i gderać,
Raczcie się obydwójce w swoim życiu wspierać,
Wiele zyskać możecie z porady i zdania,
Bo jak kiedyś ustaną swary polowania,
Będzie na tym padole z téj ważnej przyczyny,
Więcej zgody w małżeństwie i więcej zwierzyny. —

Mzurów dnia 20 Września 1861 r.

KAZANIE

W DZIEŃ JMIENIN MOJEGO PROBOSZCZA ADAMA

W święty Adam—w Wigilię—proboszczu kochany!
Pono tam gdzieś w Afryce mieszczą bociany,
Choć każdy, w każdej chwili pod praoców strzechę,
Pragnąłby przynieść braciom radość i pociechę,
Chciałby swobodną myślą z wami się podzielić,
Chciałby zwiastować wiosnę, smutek rozweselić —
Ale cóż? — dzisiaj zwiedzam dzikie okolice,
Mieszkam jak na popasie w Azji i Afryce,
I żyję prawie z nagim, prawie z dzikim ludem,
Niewiem, czem się to dzieje — niewiem jakim cudem,
Bo tu tylko znalazłem uczciwości miano,
Które u nas zniszczono i wykarczowano —
Chwalimy się że stoim na najwyższej stopie,
Że dziś cywilizacja w całej Europie —
Ale — iluż tu bliźnich, swych bliźnich obdziera,
Iluż tu ludożerców swych braci pożera?
Iluż tu jest mały głupich, tygrysów, lampartów?
Ale — niech sobie idą wszyscy do stu czartów,
Po co będę podnosił niepotrzebne sprzeczki,
Dziś Twoje imieniny — zacznę z innej beczki.—

Dosyć biedy proboszczu! siedzi nam na karku,
Nie mówię już o Moltkiem ani o Bismarku,
Bo co mi tam do tego, że dziś francuz głupi,
Że go zbyt mądry prusak ze wszystkich stron łupi,
Jak mu skórę wytrzepie, mam pewną nadzieję,
Tak jak polak po szkodzie nie długo zmądrzeje,
A nie wyjdzie być może, cztery lata nawet,
Szasepot, iglicówce wnet odda wet za wet —
Ale, na coż będziemy mój proboszczu liczyć,
Co nam trzeba nawzajem w ciężkich czasach życzyć?
Pieniądz nas szczęśliwymi nigdy nie uczyni,
Gdyby żył Fra-Djavoło — Zampa — Rinaldini,
Choćby kurki odwoził, mieczem w oczy błysnął,
Z pustych naszych kieszeni, nic by nie wycisnął —

Każdy z nas mój proboszczu! najsumienniej przyzna,
Że wszędzie tylko pustki i wszędzie — golizna —
Nie jeden austryjackie trzymał akcje w łapie,
Dziś się biedak z kłopotu, płacząc po łbie drapie,
Bo chociaż za papiery gotowizną płacił,
Lecz kupiwszy bibułę — na bibule stracił —
Na cóż tedy człek biedny, dzisiaj będzie liczył?
Takich głupich pieniędzy, nie będę ci życzył,
Choćbyś miał bankocetli kolekcję dość ładną,
Co będziesz z niemi robił, jeśli w kursie spadną?—

A więc — Solenizancie! — kochany Plebanie!
Przyjmij od przyjaciela starego kazanie,
Które, w dzień Twych imienin, tak jakby w niedzielę,
Stósownie do przepisów, na dwie części dzielię. —
W *pierwszej* — powie ci szczerze twój stary brat Łata,
Że trzeba kopnąć nogą wszystkie głupstwa świata —
A chociaż na pocziwych zaciskają pięści,
Kpić sobie z niedołęgów — o czem — w *drugiej* części. —

Część I.

Kiedy Pan Bóg świat stworzył i Adama z Ewą,
Postawił ich oboje, pod jabłkowe drzewo,
Stali sobie spokojnie z największą powagą,
Adam był całkiem nagi — Ewa była naga —
Mało potrzebowali — chociaż przy nagości,
Dostatek było szczęścia — dostatek miłości —
Szli dalej najspokojniej, życia swego torem,
Bóg ich jednak doświadczył jakimś redaktorem,
W postaci zgłodniałego, niegodziwca węża,
Odsunął panią Ewę od dobrego męża,
A mając tylko kłótnię na swoim widoku,
Powiedział jej o jabłku — ogonie i koku —
Pani Ewa — jak Ewa — gniewać się zaczyna,
Je jabłko — kładzie suknię — wielki kok przypina,
Męża swego co chwila turbuje i łaje,
Każe mu frak przywdziewać i ogryzek daje —
Adam znowu — jak Adam — zjadł i nic nie szczędził,
A chociaż go niedługo Bóg z raj u wypędził,
Zawsze była u niego w życiu mina djabła —
Bo chociaż synek Kain — zabił brata Abla,
Ale to nic nieszkodzi — tak mówiła Ewa,
Bo niedaleko jabłka padają, od drzewa —

To co wyrzekła Ewa i ja to powiadam,
Ona, mało co winna — winien tylko Adam,
Bo chociaż surowości przez życie unikam,
Gdyby *castigationem* użył *domesticam*,
I gdyby podanego niepołknął ogryzka,
Niebyłoby nieszczęścia, co nas dziś przyciska —
Z tych powodów proboszczu! nie nam się niezmieni,
Nago — bez grosza w wacku — od Boga stworzeni,
Niemożemy spoglądać na monety złote,
Bo nam Pan Bóg udzielił, uczciwość i cnotę,
Którymi zapłacimy — wszelkie ziemskie długi,
Stwórcy świata i ludziom — o czem — w części drugiej. —

Część II.

Że zamknięty w skorupie niewygodnie siedział,
Żałowała mysz żółwia — żółw jęj odpowiedział:
Miej ty sobie pałace — ja mój domek ciasny,
Prawda, że niewspaniały, szczupły, ale własny —
Są słowa Krasickiego — poety — Biskupa —
Lecz dla człeka, dziś ciasna żółwiowa skorupa,
Bo każdy na tym świecie, słucha mysiej rady,
Każdy pragnie mamony, wiatru i parady —
Tyfus, zgnięta gorączka, hemoroidy, plika,
I cała masa chorób, co ludzi dotyka,
Żółte febry, katary a nawet cholera,
Co z mizernego świata tysiące zabiera,
Miserere, migreny, flukcyjne nabrzwienia,
Nie są tak niebezpieczne, jak ludzkie zachcenia —
Muzy! — co dziś leniwo łazicie po świecie,
Zrobicie wielkie głupstwo jak niepomożecie
Bo poeta, co ledwo po padole chodzi,
I kradnie z duszy myśli, jak nikiemny złodziej,
Chociaż czasem myśl zacna w głowiznie zabłyśnie,
W tych czasach niedołęstwa — nie już niewyciśnie —
Przybawajcie z pomocą! — Gdybym miał złotówkę,
Daję słowo honoru — dałbym wam łapówkę,
Bo znam to bardzo dobrze i wy o tém wiecie,
Ten jedzie, kto smaruje, na mizernym świecie —
Lecz gdy pieniądz odemnie — sobie *fugam dedit*,
Raczie więc dopomagać — chociażby na kredyt. —

.....
Mój kochany proboszczu! rzecz jest oczywista,
Że brzdęka dziś ostrogą nie kawalerzysta,
Policjant jest majorem — kapral inżynierem,
Kawaler jest żonatym a mąż kawalerem —

Małpa udaje lwicę — żółw gra rolę charta,
Lis zmienia się w gołębia a zając w lamparta,
Wróbel w orła — gęś w pawia — nosorożec w kozę,
Djabli niezrozumieją dziś Metempsychozę —
Trudno będzie poradzić powszechnemu złemu,
Choćbym Ci powinszował szczerze, po staremu?
Lecz i starzy patrzący na ów płaczu padół
Swe nosy — jak indory, pospuszczali na dół.—

.....
Kiedy tak zmarudziło całe ludzkie plemie,
Musimy spojrzeć w niebo, opuściwszy ziemię,—
A kiedy czas nadejdzie -- gdy Stwórca przedwieczny,
Powoła nas i Ciebie na sąd ostateczny,
Mój kochany Proboszczu! prosić Ciebie będę,
Byś mnie razem z rodziną wzięt pod swą komendę,
Byśmy pod Twem dowództwem — maszerując żwawo,
W ostatnią defiladę — wszyscy poszli w „prawo”.—

w Mzurowie d. 24 Grudnia 1874 r.



DWAJ ZŁODZIEJE.

BALET OKOŁO SZKATUŁY.

Święta miłości kochanego złota!
Czują cię tylko poczciwe umysły,
Dla ciebie niczem, poczciwość i cnota
Dla ciebie niczem stracić zdrowie zmysły—
Byle cię tylko złapać, byle dostać,
Nie żal się zblaźnić — nie żal durniem zostać.—

Szanowni państwo! chociaż to nieładnie,
A kradzież czleka każdego rumieni,
Lecz gdy nie jeden rabuje i kradnie,
Z serca uczucie — złotówkę z kieszeni
Pragnąc was moją gadaniną bawić,
Proszę posłuchać, co wam będę prawić.—

Szanowne Muzy! gdy wam dana władza,
Wspierać gryzmołów w sławie i honorze,
Raczie podierać, choć wam niepodkadza,
Starego dziada — co bazgrać niemoże.
A gdy odbierze z redakcyj złotówkę,
Pietnaście groszy, da wam na łapówkę.—

TANIEC I.

POLKA.

Działo się na wsi — któregoś tam Maja,
W pewnym zamożnym staropolskim dworku
Przedstawię sprawę pana i lokaja,
Obydwa chcieli mieć pieniądze w worku,
Każdy był dobry, poczciwy i czuły
Wzdychali oba do jednej szkatuły.—

A w tym poczciwym, staropolskim dworze,
Mieszkała Basia, oczko w głowie matki,
Mieszkała wdowa po starym majorze,
Było tam szczęście i były dostatki —
I wszystko było, porządnie zaczętem,
Jędrzej był sługą — Paweł konkurentem.—

Święta miłości! prawości sąsiedzkiej,
Przy tobie chwile tak wesoło płyną,
Niemasz przy sobie niechęci zdradzieckiej,
Ty jesteś w świecie miłością jedyną—

Każdy się tobą, w nieszczęściu pociesza,
Każdy ku tobie, z wspomnieniem pospiesza. —

Święta wierności! starych sług poczciwych,
Obyś nam wiecznie istniała wśród świata,
Żeby pan w słudze, wśród życzeń prawdziwych,
Widział nie sługę lecz swojego brata, —
Niechże przy tobie stosunki się zmieniają,
Niech płacą więcej sercem jak kieszenia. —

Lecz trudno prosić — trudno Stwórcy błagać,
I ciężkie toczyć utarczki i bitwy,
Jeżeli ludzie niechęcią dopomagać,
Wznosząc ku niebu prośby i modlitwy —
Jeżeli prawość, jest na świecie grzechem,
To złe postęпки, pokryjmy uśmiechem. —

W owym poczciwym staropolskim dworze,
Co jaśniał sławą, w pośród wspomnień dawnych,
Była szkatułka po starym Majorze,
Pełna dukatów i listów zastawnych —
Cały kapitał, zmarły Major stary,
Złożył w gotówce, dla córki Barbary. —

TANIEC II.

W A L C.

Łaskawi państwo! raczcie mi darować,
Nigdy zbytnie wesół nie był i zbytnie czuły,
Ale musimy walczyć potańcować
Około pełnej dukatów szkatuły —
Pan Paweł pragnie i oczami mruga,
I Jędrzej pragnie — bo łakomy sługa. —

Wszyscy to wiemy — dokładnie i jasnie,
Że Flora, Wenus, Minerwa i Ceres,
Lubią pieniądze — dla tego to właśnie,
Przed wszystkim zawsze, stawiamy interes —
Chociaż pan Paweł bożkiem się niemienił,
Jednak z szkatułą, radby się ożenił. —

Tak samo Jędrzej — nowomodny sługa,
Gdy po komnatach raczył ścierać kurze,
Myśli i patrzy i oczami mruga,
Po co ja po co? — ciągle tylko służę? —
Gdybym szkatułę wziął z biórka dla siebie,
Byłbym szczęśliwy i żył, tak jak w niebie —

Obydwa razem z jednych źródeł wyszli
Prawda, że Paweł z większą przezornością,
Jednakże każdy o szkatule myśli,
Paweł z chciwością i Jędrzej z chciwością —
Każdy pragnący, żaden nie dobrodziej.
Jędrzej kraść pragnie — Paweł także złodziej —

Pan Paweł dobrze zna przysłowie stare,
Że się uczciwie pogodzi ze światem,
Gdy ze szkatułą raczy wziąć Barbarę,
Potem pogardzi Basią tak jak gratem —
A choć to brzydko, chociaż to nieładnie,
Lecz politycznie szkatułę ukradnie. —

Jędrzej zupełnie w innej roli stawa,
Myśląc że prosta kradzież się upiecze,
Choć będą szukać, choć będzie obława,
On za granicę cichaczem uciecze —
Wyrachowawszy tak jasną formułę,
Otworzył szafę i porwał szkatułę. —

TANIEC III.

LANCIERE.

Za parę godzin po strasznej kradzieży,
Kiedy już jeden zemknął złodziej stary,
Pan Paweł do stóp Majorowej bieży,
Prosząc uprzejmie o rączkę Barbary —
Lecz gdy oświadczał afektację szczerą,
Nie wiedział biédak, że w szkatule zero --

Niedługo prawda wykryła się jasno,
Skrzywił się strasznie nasz konkurent czuły,
Wszystkie uczucia na raz w sercu gasną,
Bo ani śladu niewiadać szkatuły —
Klnie na Jędrzeja — krzyczy — piorunuje
I od Barbary smutny rejteruje —

Bo co tu robić! - co robić na świecie? --
Kiedy się wszystko gotowizną płaci,
Zaprzedać wolność, swobodę kobiecie,
Gdy człowiek na raz miłą wolność traci, —
Niechże przynajmniej za dar tak wspaniałą
Złoży niewiasta grube kapitały. —

Miłość bez grosza — małżeństwo o głodzie,
Tak w dawnych czasach jak i w naszym wieku,
Sprzykrzy się nawet panu wojewodzie,
A cóż dopiero mizernemu człoku —
Każdemu przecie o intratę chodzi,
Tak rzecz tłumaczył jasno, drugi złodziej. —

Paweł odstąpił — niedługo tymczasem,
Gdy wszyscy radzą, szukają i krzyczą,
Rzecz się rozniosła z wrzawą i hałasem,
I Jędrzej w łapkę wpadł gdzieś za granicą —
Cieszą się matka, córka i sąsiedzi,
Bo znów szkatuła w starej szafie siedzi. —

Gdy się dowiedział Paweł o powrocie
Celu swych marzeń — jako człowiek czuły,
Chcąc zręcznie chwycić ulubione krocie,
Zaczął pomału wdychać do szkatuły —
Ale, napróżno — za wielką fatygę,
Matka i córka — pokazały figę. —

F I N A Ł.

POLONEZ.

I na tém koniec — chociaż mało treści,
Kiedy szkatuła zamknięta już w szafie,
Niechajże będzie koniec już powieści,
Bo więcej dzisiaj pisać niepotrafię —
Pisarz napróżno swój drogi czas traci,
Kiedy czytelnik za druk nie zapłaci. —

Szanowni, zacni, prawi konkurenci!
Co pogardzacie światową mamoną,
Jeśli wam w sercach uczucie zakręci,
A krótki żywot, chcecie przeżyć z żoną —
Wspomnijcie o tem — że i dziś popłaca,
Chociaż w ubóstwie — poczciwość i praca. —

Jeśli młodzieniec pracowity młody,
Weźmie uboga — to życie osłodzi,

Choć nie będzie dostatków, wygody,
Pan Bóg uczciwość łaską wynagrodzi—
Boć zna to dobrze — każdy człowiek prawy,
Że wszystko niczem — gdy Bóg niełaskawy.--

w *Mururowie d. 13 Stycznia 1866 r.*



Jak Kuba Bogu—tak Bóg Kubie.

Gawęda ludowa.

W czapce na bakier i z wesołą miną,
Wyruszył Kuba na jarmark do miasta,
Poganiał szkapę błotnistą drożyną,
Na wozie byli — wieprzek i niewiasta —
Aby się ciężkiej biedzie w domu niedać,
Więc na przednowku musieli co sprzedać. —

Jadą i jadą — jak się zwykle jedzie,
Szkapą jak może po złej drodze czmycha,
Gwarzy z kobietą Kuba o złej biedzie,
Kaśka nieboga zamysłona wzdycha —
I wieprzka także, zła niedola nęka,
Czasem zakwiczę — czasami zastęka. —

Jadą i jadą — czytelnicy moi!
Jak to przy drodze w pobożnej krainie,
Co kilka stajów — Boża męka stoi,
Bez zdjęcia czapki, żaden jej nie minie —
Lecz Kuba batem nad koniem wywijają,
W czapce na głowie figury wymijał. —

Jadą i jadą — a w tem — trzaśło w wozie,
Djabli nadali — oś nowiutka pękła,
Wieprzek wyleciał — choć był na powrozie,
Kaśka wypadła i na ziemię brzdękła —
Kuba zawołał — „tego to nie lubię!”
Lecz jak on Bogu — tak też i Bóg Kubie —

Po takim ciężkim i smutnym wypadku,
Wieprzek i Kuba i jego niewiasta,
Przybyli przecie chociaż na ostatku,
Dosyć szczęśliwie na jarmark do miasta --
Jarmark był lichy — wieprzka nikt nie kupił,
Kuba nieborak z frasunku się upił. —

Musieli wracać z niewielką paradą,
Bo wieprzek próżno odbył ciężkie drogi,
Więc małżonkowie zamysłeni jadą,
A w tem się skłonił stary dziad ubogi —
— „Mój gospodarzu — zawołał ze drżeniem
Wesprzyjcie starca — jakim wspomóżeniem. —”

Kuba z ukosa spojrzął z pod magiery,
Chociaż starcowi bieda z oczów patrzy,
Chociaż miał w trzosie jeszcze złotych cztery,
Ale zawołał: — „Niech pan Bóg opatrzy!”
I świsnął batem — szkapinę wychłostał,
Pojechał dalej — a ubogi został. —

Wypili w drodze za zdrowie kumoszek,
Kuba ni jednej karczmy nie ominął,
Wypadł podkulek — zsunął się półkoszek,
Razem z nim wieprzek, gdzieś na drodze zginął —
Zmartwił się biedak, po tak wielkiej zgubie,
Lecz jak on Bogu — tak też i Bóg Kubie. —

Trzeba się wrócić i poszukać zguby,
Jak to przy drodze w pobożnej krainie,
Dla dobrych ludzi i dla złego Kubie,
Jest Boża męka — co jej nikt nie minie,
By tego znaku czy chory, czy zdrowy,
Nie uszanował, przez odkrycie głowy. —

Skłonił się Kuba umartwiony srodze,
Przed krzyżem pańskim i dalej znów bieży,
Westchnął do Boga przy tak ciężkiej trwodze,
Spojrzał nieborak — a tu wieprzek leży --
Razem z półkoszkiem przed kumotra chatą,
Dobrym był Kuba — Bóg nagroził za to. —

Znalazł się wieprzek — znalazła się zguba,
Wraca do domu — lecz na środku drogi,
Kiedy popędzał szkapinę nasz Kuba,
Znów mu zastąpił na ścieszcze ubogi —
— „Mój gospodarzu: zawołał ze drżeniem,
Wesprzyjcie dziada jakim wspomóżeniem. —”

— „Mój gospodarzu! pokornie was proszę,
Bóg wynagrodzi miłosierdziu twemu!”
Kuba w kieszeni miał jeszcze trzy grosze,
Wyjął z zanadrza i dał ubogiemu —
Skłonił się starzec — Kuba jechał dalej,
W domu go sołtys i radny czekali. —

Bo list od brata, co służył wojskowo,
O którym dawno zaginęły wieści,
Przybył z za morza — że tam żyje zdrowo,
Posyła bratu w nim rubli trzydzieści —
Pewno się Kuba z przednowku wyskubie,
Bo jak on Bogu — tak też i Bóg Kubie. —

Na tem się kończy cała gadanina,
Unikną zawsze ciężkiej Boskiej kary,
Jeżeli w życiu Kuba czy Kubina,
Wypełnią szczerze obowiązki wiary —
Na dobrem sercu nikt nigdy nie straci,
Bo Bóg uczciwość — stokrotnie zapłaci. —

w Mzurowie d. 25 Lutego 1866 r.

WSPOMNIENIA

Z WĘDRÓWKI DELEGATA

NAOKOŁO KILKU PARAFIJ.

SZKIC HUMORYSTYCZNY

W-mu Franciszkowi Paciorkowskiemu staremu przy-
jacielowi i sąsiadowi ofiarowany.—

Wstęp.

Robinson, Kock, Arago i Vasco de Gama,
Odbywali podróże na około ziemi,
Przedstawiali wypadki a w nich prawda sama,
Bawili czytelników opisami swemi —
Nie raz straszliwe walki z ciężkim losem wiedzy,
Nie raz ich ludożercy o mało nie zjedli.

Nie mając ani majtków, ani też fregaty,
Nię znając astronomii ani geografii,
Nie mogę przez ocean, płynąć w cztery światy,
Podróż tylko odbędę w około parafii —
Z bojaźnią — bo krytycy jeżeli się dowiedzą,
To mnie jak ludożercy, niezawodnie zjedzą.—

I.

Z rozpiętym żaglem, do drogi gotowa,
Piękna fregata, w porcie Madras stała.

Stosownie do wydanego polecenia władzy, zimową porą, udać się miałem jako delegat w objazd, celem wykonania danych mi rozkazów. Zapakowawszy manatki i papiery, dostawszy od żony mojej pieczonego kurczaka i kawałek chleba, w który po wydrażonej ośrodku, włożono trochę masła i napowrót tą samą ośrodką przykryto, wzięwszy trochę tytoniu i bibułki, zawinawszy popasowe wiktuały w papier — usiadłem na wózek, przed dyszlem którego fornał mój, Wicek, zrobwszy biczyskiem znak krzyża świętego, ruszył ze mną w drogę.

Rozpiąwszy żagiel, czyli raczej, wypaliwszy *naręcznemu* — leniwemu parę batów, poprawiwszy magiery, sternik mój Wicek, popłynął ze mną, w dosyć daleką i odległą stronę.

Opakowany w burkę, dumałem — myśląc o niebieskich migdałach i różnych tego rodzaju rzeczach, jak każdy podróżnik oddalający się z domu i od rodziny, do której nie wie kiedy powróci. Przybywszy na granicę siedziby mojej i obejmując się po za siebie, zanuciłem w myśli

„Bywaj mi zdrowy, kraju kochany,
Już w mglistej nikt niezniesz pomroce...” etc.

Nie będę kochanym czytelnikom opisywał, ciężkiej, kilkamilowej podróży, po złych drogach i wertepach, gdzie nie raz dla utrzymania równowagi, aby podług zasad fizyki, prostopadła od środka ciężkości, nie wyszła za podstawę, nachylać się musiałem w prawą i lewą stronę, aby koźła razem z pakunkami mojemu nie przewrócić; nie będę wam przedstawiał znakomicie zbudowanych mostów, przez które piechotą z Wickiem, brykę i łomoki przenosiłem, boć przecie znacie dawne nasze przysłowie że:

Polskie mosty — niemieckie posty, włoskie nabożeństwo — to wszystko błazeństwo.

Ale przystępując od razu do rzeczy, powiem wam, że okręt, którym z siedziby mojej wypłynąłem, z powodu zgrzania się licowego bułanka, osiadł na mieliźnie i musiałem stósownie do rady sternika Wicka, zawinąć do portu, to jest: do karczmy, od celu mojej podróży trzy wiorsty odległej.

Ordynans stojący z pałą, na warcie, zawołał:

- Kto jedzie!
- Swój!
- A furman czyj?!
- Mój!
- Dobrze — *można wiedzieć!*

Odbywszy tedy policyjną legitymację, wjechałem do austeryi. Porządna jakaś w średnim wieku izraelitka, poprosiła mnie do swojego bocznego mieszkania, zapewniając wszelkie wygody.

- Gdzie Wmpan jedzie?
- Do Psiej Wólki.

— Mąż mój tam pojechał właśnie; zaraz powróci.

Pani dzierżawczyni propinacyi, wypowiedawszy mnie, po co do Psiej Wólki jadę objaśniła w krótkości, że pani dziedziczka tych dóbr, jest strasznie zaradna osoba, ale pan dziedzic to okrutnie nieradny, zły gospodarz; pani dziedziczka to taka, że aż strach; że tam zjeżdża komornik jutro na zajęcie, i jeżeli pan dziedzic 500 rubli nie wyliczy, będzie bardzo źle; że mąż jej w interesie wyratowania z kłopotu W-go dziedzica pojechał do Psiej Wólki.

Nagadawszy się do woli z panią dzierżawczynią propinacyi, położyłem się trochę na kanapie w gościnnej izbie, a wkrótce w sąsiednim alkierzu usłyszałem rozmowę następującą pani dzierżawczyni propinacyi z mężem, który z wyprawy powrócił:

- Git Gescheft gemacht.
- Ny?... ganc git Gescheft.
- Aaj! waj!

Nie będę nudził czytelników dosyć długą rozmową małżonków, którą podśledzałem; gospodarując bowiem na wsi przeszło pół kopy lat, zapomniawszy la-

ciny i greki, doskonale się hebrajskiego języka wyuczyłem. Streściwszy tylko w krótkości dość długą pogadankę małżonków, opowiem wam że dzierżawca propinacji pożyczyl od dziedziczki Psiej Wólki 500 rs. z procentem 12% w monecie takiej: dwa listy likwidacyjne po 100 rs. i trzy papierki bankowe po 100 rubli, od których procent z góry opłacił, wzięwszy jeszcze dopłatę kursu około 45 rubli w drobnej monecie.

Zdrzemnałem się cokolwiek. Niedługo Wicek przyszedł, oświadczywszy, że jest do dalszej podróży gotowy; raportując przytem, że mój wyżeł Bekas za tropem przyleciał za nami.

— A czy go tam djabli przynieśli!

— Wielmożny panie! on ta od kuni nie odlicie!

Dobre psisko, kochani czytelnicy, mianowicie do kuropatw; wiatr ma doskonały — powolny — choć człek niedowidzi i nie raz spudłuje, to się przy nim czasami co ubije.

Wyruszyliśmy do Psiej Wólki; w pół godziny zajęchałem przed ganek skromnego wiejskiego dworku. Na przywitanie moje wyszła pani domu, bo mąż w pilnym interesie wyjechał — ale niedługo powróci.

Oświadczywszy cel mego przybycia i rozgościwszy się w danej mi kwaterze — spostrzegłem masę indyk, gęsi, kaczek, trzody i prosiąt, doskonale wyglądających. Powiernica pani, zdaje się Kaśka, wypuściła z chlewa cztery karmne wieprze jak smoki, które hukiem i podskakiwaniem dowodziły dobrego swego bytu. Prawdę mówiła żydówka na popasie, że pani Psiej Wólki jest staranna i zaradna — pomyślałem sobie.

Pragnąc przed przybyciem dziedzica rozpocząć czynność moją, zawezwałem p. o. ekonomę, p. Pakulskiego, który mi oświadczył, że w szpichlerzu nic niema, zboże niedosiane, ziemniaków niema na sadzenie, ordynaryje nie wydane, dodając, że tylko u pani znajduje się kilkanaście korecy zboża, kilkadziesiąt korecy ziemniaków i t. p., które jako skrzętna gospodyni z szpiklerza u siebie zabezpieczyła, i z pół obsewanych na swoje kopyto, czyli raczej conto, z ogrodów i lepszych kawałków ziemi zebrała, zamknęła i klucz do kieszeni schowała.

Dziedzic Psiej Wólki razem z dzierżawcą propinacji przybyli z karczmy, w której popasałem. Rozmówiwszy się ze mną i skończywszy wkrótce cały interes, poczciwe człowieczysko udał się do sąsiedniego kwatery mojej pokoju, gdzie go pan dzierżawca propinacji oczekiwał.

Ciekawość pierwszy stopień do piekła.

Ale... jako Bocian, który wam raporty składać jest obowiązany, podsłucham i dowiedziałem się, co następuje:

1. Że dzierżawca propinacji wypożyczył dziedzicowi Psiej Wólki po 24% rubli srebrem 500;

2. Że wyliczył je biorąc procent z góry w dwóch listach likwidacyjnych i trzech papierkach bankowych także po rs. 100, które co dopiero od dziedziczki Psiej Wólki na 12% pożyczyl;

3. Że dziedzic Psiej Wólki przyjął Listy Likwidacyjne al pari bez dopłaty kursu;

4. Że bezpieczeństwo na całym, jaki posiada majątku, zabezpieczył i dał mu jeszcze w dodatku 10 sążni drzewa.

— Moje łaskawe panie! czy się to tak godzi?...

Czy tak wzajemna praca w małżeństwie się słodzi,

Aby żydom opłacać tak wysokie myto,
Aby każdy szył buty na swoje kopyto?
Darujcie wyrażeniu: niech pioruny trzasań
Taki *Self* — *help* niemiecki — taką pomoc własną.

II.

Biada temu domowi
Gdzie dobodzie krowa wołowi.

Skończywszy interes w Psiej Wólce, stosownie do danego mi polecenia, udalem się podług przepisanej marszruty do dóbr Babina najbliższej położonych.

Jechałem dosyć ostro, Wicek, kiedy niekiedy spluwał i drapał się po łbie; miał coś wyraźnie na sumieniu — w złym był humorze.

— Co ci to jest?

— Co mi jest?... a źle Wm-panie... dyrkę mi skradli z bułanygo.

— A niechże cię gęś kopnie — zawsze byłeś, jesteś i będziesz gapą.

— Niech ta... mamy i tak za swoje!...

Wywinął batem nad końmi i ruszył ostrzej dalej. Niedługo wózek nachylił się, kolo spadło, konie stanęły — fregata moja usiadła.

— Cóż się tam u kaduka znów robi?

— A nic — *Kurcob* zginął i kwita!

— Idźże go poszukaj, może niedaleko wyskoczył.

— Obydzie sie.

Poprawił magiery, sięgnął ręką pod siebie i wyciągnął ze słomy nowy prosto z igły kurczab — zasadził i pogrzmiliśmy dalej.

Skądżeś wziął tego kurczaba?

— Niech ta Wielmożnygo pana o to głowa nie boli.

Ruszyliśmy ostrzej, wózek piszczał; widać go nie nasmarował. Dobry chłopak, ale strasznie rozlazły.

— Wzięłeś smarowidło z domu?

— Zabocylem.

— Stań że przed karczmą, to się kupi sadła, albo co innego u kaduka i nasmarujesz.

— Nie trza kupować — powiedziałem Wm-panu, że mamy za swoje; ukradli mi dyrkę — jo im tyz porwoł dwa kurcoby z wozu i maźnice ze smołą — pikne za nadobne.

Zeskoczył z wózka, wydobyl mój tłomek z pościelą, odpiął i wyjął z niego nabyte psim swędem smarowidło, które w pościeli mojej nie mało zrobiło zniszczenia.

Widząc zadowolnienie na twarzy mojego faworyta Wicka, który wiechciem obcierał splamioną poduszkę, kołdrę i prześcieradło — nie już nie mówiłem, tylko po nasmarowaniu wózka pojechałem dalej „mając za swoje”.

Po paru godzinach jazdy, wyjechaliśmy na podwórze dworu dóbr ziemskich Babina. Kilku kapłonów, wodzących choć w twardej jesieni stada kurcząt — oraz jakiś nieborak, coś naksztalt ex-fornala, czy ex-rataja z prostoduszną miną, robiący przed kuchnią masło i oganiający delikatnie gałązką, zbliżające się celem

oblizania maślniczki, tłuste prosiaki — zwróciły moją uwagę że tu pieć mężka, do niewłaściwych zatrudnień jest używaną.

Zajechałem przed ganek dworu, przed który kilku pokojowych mopsów, szpiców i filusiów wypadło. Bekas mój zawarczał, stulił uszy na byce i z Wikiem do stajni odjechał.

Przyjęty zostałem przez panią w bawialnym pokoju; oświadczyłem, jak zwykle, cel mego przybycia, pragnąc zobaczyć się dla rozmówienia się z jej mężem.

Dziedzic Babina z kluczykami w rękę, obracając niemi, w krótkce przybył.

Uściskawszy mnie zapytał, czem sobie każe służyć: czy kawą, czy herbatą, czy wódeczką po podróży i natychmiast dla spełnienia życzeń moich wyleciał.

Dziedziczka Babina poprosiła mnie siedzieć, zapytawszy o powody, jakie mnie do jej domu sprowadziły, o czem ją natychmiast objaśniłem. Oświadczyła, że mąż jej, jako bardzo słabowity, nie trudni się żadnymi interesami i musi biedaczka wszystko a wszystko mieć na swojej głowie. Przedstawiła mi mapę, rejestru pomiarowy, księgi gospodarskie, które, z powodu niedołęztwa ekonoma przyjętego przez jej męża obecnie prowadzi guwernantka, panna Schurgot z Wrocławia, przyjęta do córki, a która przed paru godzinami z pupilką swoją, wyjechała na folwark, celem obejrzenia sprowadzonej młocarni, kieratu i młynka.

Podczas tej rozmowy, dziedzic Babina krzątał się i biegał, w przyległym pokoju nakrywano do herbaty, brząkano talerzami, dmuchano w samowar. Przy tym rwetesie przez uchylone drzwi, spostrzegłem, że dosyć mała, krępa, karaskowata pokojówka, palnęła w kark dosyć wielkiego draba, pełniącego obowiązki lokaja, który jej tam coś niezgrabnie postawił na stole i poprawiła samego pana w ustawianiu przekąsek do herbaty.

Przy robieniu notatek, objaśnianych mi przez dziedziczkę Babina, wpadła z córką pani domu panna Schurgot, a nie pozdrowiwszy mnie nawet, zganiła wszystkie fabryki narzędzi rolniczych w Królestwie Polskiem, oświadczając stanowczo, że najlepiej będzie sprowadzić kilkanaście dziewczek ze Szlązka, które za małym wynagrodzeniem, całą krescencję Babińską, wymłóca, zwieją i wymłynują.

Kiwnąwszy mi potem głową i kokiem, dowiedziawszy się od pani domu co ja jestem za figura, dopomogła do obliczeń z mapy i rejestrów pomiarowych, objaśniając, że logikę, teologię, medycynę, psychologię, astronomję i sztuki piękne, w wysokim stopniu posiada, gdyż tym od młodości się poświęciła; wie o tém, że kwadrat z przeciwprostokątnej, równa się sumie kwadratów z dwóch ramion kąta prostego, za rozwiązanie którego to twierdzenia, żona jakiegoś skoczybrudy, dostała od Muciusa Scevoli sto wołów.

Zglupiałem — i byłym na dobre zwarzował, gdyby pan domu brząkając obracaniem w rękę kluczykami, nie poprosił nas na przygotowaną przez siebie herbatę.

Po zwykłych ceremonjach, pani domu zaproponowała wódeczkę przed kolacją; pan bowiem domu nie miał czasu, bo węgle w samowarze wygasły, chwyciwszy go więc za uszy sam, osobiście, wypadł z nim za drzwi jak bomba.

Napiliśmy się z proboszczem, który na herbatą był zaproszony — i co tam było przegryźli.

Samowar z panem powrócił do pokoju; herbatę sam pan rozlał i nam jak najrzeczniej podał.

- Może z cytryną?
- Może z sokiem?
- Może z arakiem?
- I owszem!
- I owszem!

Zaprawiliśmy sobie herbatę z proboszczem, jak Bóg przykazał i zaczęli mięszać łyżeczkami, celem rozprowdzenia rumu.

— A pan dobrodziej nie z nami?

— Mąż mój, zawnioskowała dziedziczka Babina, jako bardzo słabowity, pija tylko leciuchną bawarkę z koziego mléka i źródlanej wody — inaczej, uderza mu do głowy.

Na takie *dictum acerbum*, nie było co powiedzieć, pomyślałem tylko sobie, że przy bawarze z koziego mléka, nawet Salomon nie dowiedzie, czemu się równa kwadrat z przeciwprostokątnej — i nietylko stu wołów, ale nawet ćwiartki cielęciny nie dostanie, nietylko od Muciusa Scevoli, ale nawet od Judyty, co Holfernesowi łeb ucięła.

Wypiwszy z proboszczem po drugiej szklance herbaty, pożegnałem państwa domu, a że Wicek zajechał, ruszyłem w dalszą drogę...

— Jadłeś co?

— Ale—jod—psiwiaara kucharka, kosała mi sobie samemu ziemniaki skrobać. Jo jesce takich rzondów, jekem żyw, nie widziół.

— A Bekas?

— Porwoł pół bochynka chleba z krydensu, gonili go som pon z lokajem, ale go nie dopadli.

— No jedź dalej, przetrącis co na popasie.

Moi kochani państwo, czy ja nie mam racyi?

Czy się to zowie krokiem do emancypacyi?

Czy tak winien na świecie żyć mąż z swoją żoną,

Żeby krowa szła w jarzmie, a wołu dojono?...

Gdybym mógł być otwartym, z największą ochotą,

Taki porządek w domu, nazwałbym -- głupotą.

III.

Nie słyszą dzwonka na sextą i nonę.
W tém ojciec Rafał na obiad zadzwonił,
Wypadli wszyscy, jakby ich kto gonił.
Ignacy Krasicki.

Wlokąc się w dalszą podróż po ciężkiej, piaszczystej drodze, usadziwszy się i opakowawszy wygodnie na wózku, zaćmiłem papierosa i dumałem o domu, o dzieciach, którym, z całej duszy pragnąłbym właściwszą wskazać w życiu drogę, niż ta, którą dziś wiele bardzo rodziców, młodemu pokoleniu przedstawia. Po najgłębszych rozważach, przychodziła mi zawsze myśl do głowy, że każde dziecko z najlepszymi przymiotami duszy rodzic się musi, a utrzymanie i uszlachetnienie ich, zależy jedynie od dobrych przykładów i od właściwego kierunku młodemi umysłami ze strony rodziców, pomiędzy którymi nie ma żadnego wywyższenia

plci jednej nad drugą, jako dążącymi pocziwie, do jednego celu dobrego wychowania dzieci. Boć jeśli ojciec silną wola, szlachetnością i pracą celować powinien, to matka dobrocią, łagodnością, nakazanym nauką Chrystusową obowiązkom, zadosyć uczynić winna. Obydwoje patrząc w postępowanie dzieci, jak w zwierciadło, zawsze dla siebie i społeczeństwa szczęście przyniosą; inaczej, że źle i niewłaściwie kierowanych pojęć, zrobi się kiedyś taki bigos hultajski, że go rodziny strawić nie będą mogły.

Cisnąłem kończący się przy owych marzeniach papieros — i przyszła mi na myśl panna Szurgott, która kieruje pierwszemi krokami przyszłej dziedziczki Babina—dziecka, które widząc czém jest ojciec a czém jest matka, spostrzegając takie *verte-folio* w rodzicach, mając przytem tak znakomity jak panna Schurgott drogoskaz — najniewinniej pojedzie drogą sobie wskazaną, chociaż w młodej główce inne, szlachetniejsze myśli błyszczały.

Czy to już polskiej ziemi zbrakło na dziewicach,
Co im można wyczytać na szlachetnych licach,
Wszczępione z dawnych wieków w serca cnoty stare,
Naszą dawną pocziwość, naszą starą wiarę?...
Czy to nasze dziewice idąc taką drogą,
Młodemi umysłami kierować nie mogą?
Czy to już gwałtem trzeba biedne niemowlęta,
Przekształcić na niemieckie opasłe cielęta,
Albo je też przestrajać, mój Boże kochany,
Dla głupiej jakiejś mody w francuzkie gałgany?
To nędzne, niewłaściwe dziecinne zabawy!
Sławianin pragnąć winien jednej tylko sławy,
A mając w swoich przodkach dość wielkich przykładów,
Po co ich ma pożyczać od swoich sąsiadów?

Trochę jednak za długo nudzę czytelników objawieniem myśli, jakie się w podróży po głowie mojej snuły.

Przybyłem przed dom zajezdny dosyć porządnym. Kilku parobków w czerwonych magierach i dziewczynek z założonemi rękami lub z podpartemi brodami, stało przed austeryją.

Wicek był głodny i ja trochę — należało co przetrzącić i szkapy popaść; miałem jechać do Kiskowa.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków. Amen.

— Co to za wieś?

— Kiełbasówka wielmożny panie!

— Daleko do Kiskowa?

— Dyć to jedynego dziedzica — zaraz za górą.

— Jak się nazywa dziedzic?

— Dalibóg — zabocylem. Wojtek! słysys — jak to naszemu dziedzicowi?

— No! . . Śwańflaś.

— Szwejnflajsch — poprawił jakiś porządnym wychodzący na przeciwko mnie karczmarz, którego poprosiłem o przegryzkę dla koni i przekąskę dla Wicki.

Niedaleko karczmy budowano jakąś altanę i rusztowanie na stawie. Widząc, że Wojtek najlepiej mnie może objaśnić, zapytałem go, co to budują?

— Simsiule, prosze łaski pana.

— Kto to buduje? i co?

— Śwagier pana Śwanfflasia, pan Adolf, Baśka — fic-paprol z rejmentu Trzmie-
li, dło dzieci pana dziedzica.

Nic zrozumieć nie mogłem, byłem jak tabaka w rogu; dopiero przybyły karczmarz objaśnił mnie, że na stawie brat żony dziedzica, pan *Adolf Paschke*, wice-kapral z pułku austryjackiego *Schmerling*, będący na urlopie, dla dzieci państwa *Schwejnflejschów* buduje szkołę pływania, czyli *Schwimmschule*.

Dowiedziawszy się o wszystkim, porządnie głodny, bo w żaden sposób jeść nie mogliśmy; ja, niemoczonego śledzia, Wicék suchego placka, a konie trzciny za siano, sprzedawanej, zważywszy, że do Kiszkowa niedaleko, pogrziłem dalej do celu mej podróży, pożegnawszy pocziwego Wojtka, który mi tak dokładnie na zapytanie odpowiadał.

Hanibal, co przed wieki miasto Sagunt zburzył,
Pewnoby się rozgniewał i czoło zachmurzył,
Gdyby, chcąc przejść przez Alpy w ciężkim bardzo czasie,
Znalazł dla swojej armii śledzie na popasie.
Różne są przeznaczenia ludzi tego świata,
Cezara, Hannibala — ba! i Delegata,
Co choć armii nie wiedzie, nie pływa po wodzie,
Lecz jak tamci, on także nie ruszy o głodzie;
Więc gdy dziedzic Kiszkowa na obiad zadzwonił,
Wypadłem z Kiełbasówki, jakby mnie kto gonił.

IV.

. Jak stoi świat światem
Polak Niemcowi, nigdy nie był bratem.

Wykonywając dalszy ciąg danych mi poleceń, wyruszyłem do Kiszkowa celem ich wykonania.

Nie wiem dalibóg, kochani czytelnicy, jaki jest stosunek mózgu mizernego człeka, do jego żołądka, jakie powinowactwo pomiędzy sercem myślą, duszą i ciałem, bom ani medycyny, ani fizjologii bardzo głęboko nie studjowałem; z praktyki jednak i doświadczenia przychodzę do wniosku, że żołądek jest podstawą i fundamentem całej organizacyi naszej, wszechwładnym panem całego naszego jestwa — ciała, duszy i *jaźni* — a w nim bez wątpienia, mianowicie w dzisiejszych na niemieckie kopyto przenicowanych czasach, dusza człowieka z wszystkimi swojemi przymiotami, obrała sobie *locum fixum*, czyli stałe zamieszkanie.

Nie mając w żołądka moim nic więcej oprócz niewymoczonego śledzia, jakies czarne myśli snuły mi się po głowie. Radbym był rozkaz władzy mojej jak najspieszniej i najsurowiej wykonać; nienawiść i zemsta zagnieżdżyły się we mnie; uczucia, które wychodząc z serca, snuły się w myśli mojej o ciężkich czasach, miłości bliźniego i t. p., zagłuszał jakiś głos tajemny, wychodzący jak z za parawana do mojego żołądka: „Jak ci nie da befsztyku z chrzanem i ziemniakami i przynajmniej butelki bawarskiego piwa, nie miej żadnego miłosierdzia ani litości.”

Staropolskie uczucia zniemczyły we mnie, odezwałem się do mojego Wicka, pragnąc przerwać straszną walkę myśli i żołądka.

— Daleko tam jeszcze do Kiszkowa?

— A niech go tam jasne ogniste zatrzasną i taką służbę — włączyć się dzień i noc po psich niechwiejach — djobli wiedzą po co i na co.

Kropnął bułanego batem i ruszył prędkiej. Niema z nim co mówić.

— Bekas! pójdz tu! zawołałem na psa.

Ani mruknął, szedł przy bryce z zwieszonym ogonem. Źle pomyślałem — uwagi moje były słuszne.

Po krótkiej podróży, przedstawił się nareszcie oczom moim dosyć elegancki dworek; nowe, leciuchne na sposób pruski stawiane z tarcic budyneczki folwarczne, kryte dranicami lub tekturą przypominały mi zdanie ś. p. mojego ojca, którego kazał nam się zawsze trzymać, że wieś tylko taka jest dobra i chleb dać może, gdzie wszystkie budowle nawet dwór, słomą są kryte. Może to było uprzedzenie, starego żołnierza — mniejsza o to. Przystępuję do rzeczy.

Wszedłszy do mieszkania pana Schwejnflejscha, oświadczyłem cel mojego przybycia. Pan dziedzic z porcelanową fajką z giętką i odlewką, puszczał dymki z *Gesundheits-Knastru*, poprosił mnie siedzieć na stołku, sam rozwaliwszy się na kanapie.

Po krótkiej pogadance wzięłem się zaraz do roboty i zacząłem pisać protokół: „*Dziato się*”...

— Co tam pan pisał?

— No!... protokół —

— Zadyn protokół!... nyc ne dziato sze! Kischkof i Kielbasofka mój! — i odsunął mi kałamarz na bok.

— Wiem, że pański — to pan płac raty, do milion, set, kroć, sto tysięcy, batalijonów okrętów!

— Niech sze pon nie gniwo — ja zaplace — a robicz niez nie dom. Mój Stryk był pod Sedanem, a brat moja szona pod Metz. Sam general Moltke, psypion mu mentolik na kabotku — jo takze był w lagrze pod Berlinem zym meszaja! — o!...

Po tej przemowie puścił dym z porcelanki pod sam sufit. Widząc, że sobie rady z tak wielkim wojownikiem nie dam, posłałem Wicka po wójta gminy i pisarza, mających w Kiszkowie kancelaryję; sam zaś z papierosem usiadłem przed domem, oczekując na przybycie miejscowej władzy.

Urzednicy gminy w tej chwili przybyli. Posadziłem wójta gminy przy sobie, oddając pisarzowi reskrypt władzy mojej, a pragnąc prędko zakończyć czynność i ustanowić nadzór z sąsiedniego obywatela, nad zaprowadzić się mającą administracją w Kiszkowie z przyległościami, zapytałem go, o właścicieli w jego gminie osiadłych.

— Kto tu najbliżej mieszka.

— Pon *Mops*, wielmożny panie.

— Pan Moose, poprawił pisarz gminy.

— A jeszcze kto więcj?

— Pon *Piesck* —

— Pan Peschke, nadmienil pisarz.

— Jest jeszcze kto blisko?

— Pon *Szelma* — objaśnił wójt.

- Pan Schilmann, dodał pisarz.
- A więc?
- A juści nima, ino jesse pon *Kuglorz*.
- Pan Kuglar poprawił pisarz, udając się z reskryptem do pokoju dziedzica celem objaśnienia go o interesie, w którym przybyłem.
- Więcej niemacie nikogo w gminie z obywateli dziedziców.
- Nima tu ani jedynego człowieka — tylko jeden za pseproseniem zyd propinator i pięciu ucciwsy usy wielmożnego pana, niemców, reszta my, włościanie.
- A w sąsiedniej gminie?
- A jest tam pon *Majur* w Skórkowie —
- Jak się nazywa?
- Pono Koniecpolski —
- Chwała Bogu! w to mi graj — pomyślałem sobie; człowiek wojskowy, zdaje się familjant, dzielną nadzorca dla Kiszkowa.

Po ukończeniu czynności w obec władzy gminnej, do czego się nareszcie pan Schwejnflejsch po wytłomaczeniu pisarza zdecydował — wypaliłem na ręce wójta gminy Kiszków odezwę do W-go Majora Koniecpolskiego, prosząc go o przyjęcie nadzoru nad administracją dóbr Kiszkowa, mniej więcej w tych słowach:

„Wielmożny Panie Majorze Dobrodzieju! Znając W.W. Pana Dobrodzieja gotowość do posług obywatelskich, jako delegat do zaprowadzenia administracyi w dobrach Kiszków, ośmielam się prosić W.W. Pana Dobrodzieja o przyjęcie nad tą administracją nadzoru i podpisanie załączonej tu deklaracyi W.W. Pana Majora Dobrodzieja uniżony sługa, etc. . . .

Domyślając się, że jako stary wojskowy, musi być kawalerem, jeżeli nie legii honorowej, to przynajmniej krzyża wojskowego, kropnąłem adres: „Wielmożny Pan Koniecpolski, Major b. wojsk polskich, kawaler orderów, dziedzic dóbr ziemskich w Skórkowie.”

Zapieczerowałem, i konnym ordynansem wyprawiłem, oczekując na odpowiedź.

Za parę godzin, ordynans na spienionej szkapie powrócił. Dawszy mu na szwarcówkę, skwapliwie odpieczerowałem list i wyczytałem, co następuje:

„Wielmożny panyie dyligowani! — Monsz muj bogu Siękowacz nie jes zadni woskowi Ino cywilnego bo jus doszyc tego polskie ruhafka. Nie jeszt Kawalir Bo jo jezdyz igo Schona — nima go Doma — bo jako dziedzicz dupr szziemskie wijechol z welnim Do mijastecka — na Siabas wruczy — Kiedy mo pon intres — po Siabasu mozo psijehacz

Rzostaj pana Dyligowani
bardzo ścieśliwa
Sora z Mojszebergów
Majorkowa Koniecpolska”.

Złapałem się obydwoma rękami za głowę a nieczekając dłużej, pogrznimłem do kancelaryi wójta gminy, gdzie zjadłszy u pisarza porządną porcję jajeczniczy, nakarmiwszy Wicka, wyruszyłem dalej. Dowiedziawszy się od wójta że niedaleko błąka się jeszcze na rządowej dzierzawie jakiś człowiek, jego więc na nadzorcę administracyi przedstawiłem.

Łaskawi i szanowni mości dobrodzieje?
Co się robi na świecie i co się nie dzieje?

Z jakim lekceważeniem starodawne plemie,
Odstępuje za bezcen, ojców swoich ziemię,
Na której pradziad jego z pługiem w rękę chodził,
Na której się wychował, na której urodził,
Prawda, że ciężkie czasy tak jakby przekłęte,
Że niemiec ma pieniądze od francuza wzięte;
Ale choćby nam płacił brylantami, złotem,
Przehandlowawszy ziemię, gdzie pójdziemy potem? . . .

V.

Smutno, nudno, i przykro bardzo oczywiście,
Gdy człek żyje samotny, jak singelton w wiście.

Objeżdżając w dalszym ciągu po kolei dobra ziemskie, przybyłem do dóbr Piotrowic, własnością pana Piotra z Alkantary Piotrowskiego będących, starego kawalera. Niezastawszy dziedzica, który na polowanie wyszedł, przedstawiłem się zarządzającej gospodarstwem domowem pannie Petroneli, obstarnej już damie, ale jeszcze dość pokaźnie wyglądającej. Wskazała mi pokój na prawo, a zmarszczywszy czoło krótko i węzłowato rozmówiwszy się ze mną, kazała czekać na powrót pana dziedzica. W sąsiedztwie mojej kwatery była widać jej kotlina, bo niedługo usłyszałem ją rozmawiającą z jakąś dziewczką.

— Znów jakiegoś darmozjada djabli przynieśli; ani mięsa, ani chleba, ani bułek, ani drożdży, ani żadnej rzeczy, które jego są — ciekawam co będzie żarł? — a czy mnie też czarci trzymają u tego starego dziada, niedołęgi, czy co?! — ruszaj na pole! łazi tam gdzieś z psem po ziemniakach; niech zaraz przychodzi, bo tu jakiś drab przyjechał!

Dziewka poszła.

Pokój, w którym mnie umieszczono, był w całym dworku jedyną widać siedzibą dziedzica; służył bowiem za sypialnię, jadalnię i bawialnię; druga połowa dość obszernego domu, była pustą — błąkały się tylko po niej kury i chude prosiaki.

W pokoju, który zająłem, stało łóżko, przykryte dawniej czerwoną, a dziś pomarańczową kołdrą; nad łóżkiem wisiał dywan, nad którym były wbite dwa wielkie jelenie rogi; na dywanie mały Dawidek zabijał z procy wielkiego Goliata; przyrzady i trofee myśliwskie, przybite na ścianie, otaczały całe łóżko; pod oknem stał stolik duży, czarny, z galeryjką do koła, na którym cały Pocięjów rozmaitych ingrediencji i wiktuałów, począwszy od kałamarka bez atramentu, aż do kawałka suchego spleśniałego chleba, w największym nieporządku spoczywał; przy ścianie stała kanapa kameleonowego koloru, przed nią stół, kilka stolików różnego kalibru, jeden przy piecu o trzech nogach; przy drzwiach wisiały klucze różnej wielkości i blaszana o jednej szybie latarka; za piecem kilka fajek z długimi cybuchami, a na gwoździu okropna macheryzna czyli kapeciuch z tytoniem.

Usłyszałem nareszcie głos pana dziedzica w drugiej izbie.

— Kto przyjechał?

— Jakiś wydrwigrosz w interesie rządowym.

- To moja Petronelko, bądź tak dobra, zrób jaką przekąskę.
- Z czego, z palca?... Kiedy nic niema!
- Zabij tę srokata kurę.
- Siedzi już drugi tydzień na jajach; chuda, jak pruska śmierć! Djabełby ję nie ugryzł. A czy mnie też Bóg skarał z takim gospodarstwem?
- Zabiłem zająca; może być na pieczyste, tylko o rosół się postaraj.
- Chyba z gwoździa, bo mięsa niema!
- A to barszcz na kielbasie; masz tam podobno kawałek w szpiżarni.
- Zaledwie ję tam zuchelek — koty zjadły!
- Moje dziecko! jak mnie kochasz, zrób aby było dobrze; tyś taka gospodar na, najlepiej sama urządzisz.

Udobruchała się jakoś po tęg przemowie i już powolniej dodała:

- Jest w owczarni baran *zawrót*; można go kazać dorznąć — będzie potrawka.
- To — to — to — to! masz racyje — bardzo dobrze!

Gwiazdo emancypacyi, wielebny pantoflu!

Nie mogę ci podkadzić Wirgilego słowy,
Wolałbym na jałowym poprzestać kartofiu,
Jakbyś się miał dotykać mojej siwej głowy;
Wolałbym wszystkich pięciu pozbyć na raz klepek,
Jak mieć na swęj łysinie, pantofel lub czepek.
Jeżeli jeszcze żona, kiedy ciężkie czasy,
Brzęczy, nudzi, klekocze i uwagi czyni,
Zmienia cienkie dyskanty na potężne basy,
Toć przecie połowica, lecz nie gospodyni;
Starym więc kawalerom koniecznie trzebaby,
Mieć w kuchni starych kuchtów, a nie głupie baby!

Po niedługiej chwili, wszedł pan Piotr do mnie, a chwyciwszy jak w kleszcze w silne objęcia, powitał serdecznie, wypytał się o żonę i dzieci, dowiadując się, czy tak jak ja *wiersze robią*? Przyniesiono wódkę, chleb razowy, ser, masło. Panna Petronela przeprosiła dosyć grzecznie, że niema lepszego chleba i za ser, którego ani ja, ani pan Piotr ugryść w żaden sposób nie mogliśmy. Napiliśmy się pielonówki, przegryźli trochę dla konkokcyi żołądka ten tego — *bis repetita*, panna Petronela przyniosła jeszcze gomótek, po których naturalnie, ponieważ były gorzkie, *omne trinum perfectum* — i jakoś to było niezłe.

Przed obiadem skończyłem moją czynność, zjadłszy barszcz, resztkę kielbasy i zająca, bo baranowi widać jeszcze życie darowano. Miałem odjechać, ale pan Piotr gwałtem mnie na noc zatrzymał; czyniąc zadość zaproszeniu, zostałem. Rozmawialiśmy długo w noc. Na zapytanie, dla czego się nie ożenił i żyje samotny, bez celu, znudzony życiem, którego niema komu poświęcić — westchnął, machnął ręką, puścił wielki kłęb dymu z fajki, opowiedział mi w krótkości *curriculum vitae*, i wskazując na małą sylwetkę młodej kobiety, rzekł w końcu:

— Z tą chciałem się żenić i jestem przekonany, że byłbym szczęśliwy, ale rodzice nie pozwolili na niestosowne małżeństwo, bo była ubogą i nie szlachcianką. Łza spadła z oka pocziwego pana Piotra, otarł ją ukradkiem i westchnął ciężko.

Jeśli człowiek sam jeden siedzący na roli,
Niema się komu zwierzyć z tem. co go zaboli;

Jeżeli pod pocziwą ojców swoich strzecha,
Niema przyjsć kto do niego z serdeczną pociechą,
Nie odżyje w rodzinie, w ukochanych dziatkach —
To co po takim życiu? i co po dostatkach?
Szlachectwo?... mój ty Boże!... jeżeli przy herbie,
Grymasów, głupich zachceń, pustek pełno we łbie;
Jeżeli przy nich życie w utrapieniu płynie —
To czy nie większe szczęście przy biednej dziewczynie,
Co chociaż jój rodzina herbów nie zostawi,
Ale jój Bóg za cnoty z niebios błogosławi.

VI.

Na tym padole płaczu wszyscy sobie radzą,
Że najlepiej drzeć łyka, kiedy się drzeć dadzą.

Niemasz podobno w dzisiejszych czasach ani jednego człowieka, któryby był z położenia swego zadowolniony; z tego powstało jakieś zobojętnienie do pracy i jakieś dziwne marzenie, że zmieniwszy sposób do życia, do któregośmy od dzieciństwa nawykli, potrafiemy stanąć wyżej i dogodzić zachceniom, jakie dziś w męskiego, żeńskiego, a nawet i nijakiego rodzaju indywiduach do wysokiego stopnia wzrosły.

Z powodu tego kwasu i nieukontentowania, oraz niepamięci na zdanie pety: „ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim,” tracimy materjalnie w ogóle wszyscy, tak w miastach i miasteczkach, jak w pałacach i wiejskich dworach osiedleni, dając wielkie zyski spekulantom i faktorom, którzy frymarcząc i korzystając z dziwnego snu naszego, podtrzymują nas dalej w błędzie, z wielkim zyskiem dla siebie i popychając nas w przepaść, z której po spełnieniu niewłaściwych życzeń, trudno nam się wydobyć.

Odbywszy kilkomiłową podróż, przybyłem do dóbr Smolice Wielkie, będących na liście delegacji mojej. Poprzewracane do góry nogami budowle folwarczne; pootwierane stodoły, w których nic nie było, pusty dwór z powybijanymi oknami, chudy pies, nie mogący nawet na mnie z głodu zaszczeakać, stara jakaś mizerna dziewczka — ot i wszystko co zastałem na gruncie — cały inwentarz żywy i martwy.

Usiadłszy tedy na pniaku przed opustoszałym dworem, jak Maryjusz na zwaliskach Kartaginy, oświadczyłem staręj Urszuli po co do Smolic przybyłem. Ta drapiąc się po nieuczesanęj głowie oświadczyła, że niedługo przyjdzie z krzaków leśniczy, stary Jakób, który mnie o wszystkim objaśni.

Dosyć obszerny, bo około 600 morgów obejmujący folwark w Smolicach, nie zły grunt pod lasem, młode zarosłe pragnące przy porządku wyrosnąć jak najprędzej, wydobywająca się z zarośniętych łąk z pomiędzy kretowin trawa, zdawały się prosić o pomoc, zapominając, że rozdrobnione na mniejsze części w dzisiejszych czasach i uszlachetnione pracą, wyżywić mogą kilka familij i jeszcze niemało wydać produktów dla niepoświęcających się roli konsumentów.

Nie będąc nudzil czytelników opowiadaniem myśli moich i wrażeń jakich doznałem, oczekując parę godzin na przybycie starego leśnego. Nareszcie przy-

był. Umieściwszy jak można było konie moje i Wicka, wynalazłszy dla mnie kącik w opustoszałym dworze — zapalił na kominku, a przeprosiwszy najpoczuwiej, że mi niczem nie może służyć, tylko trochę mleka, ziemniakami i paru jajami na twardo, poszedł przygotować owo pożywienie, a ja się tymczasem w kwatery rozgościłem.

Zwinał się dosyć prędko poczuwiy stary Jakób. Posiliwszy mnie, poczęstowany cygarem i łykiem z podróźnej mojej manierki, poprawiwszy drewek na kominku, zaczął opowiadać historję dóbr Smolice-Wielkie, w tych mniej więcej słowach:

— Ja tu już Wmpanie służę w tym dworze lat przeszło czterdzieści. Pamiętam jeszcze starych panów, którzy tu gospodarowali; pamiętam stare lasy, dziś już wyrąbane przez żydów, w których z nieboszczykiem panem, strzelaliśmy dziki, sarny, jelenie i wilki. Były to lepsze czasy — wszystko przepadło — jak kamień w wodzie, niema o czem gadać. Ta stara suka Śpiewka, co się tu błaka po podwórzu, to wnuczka po starym Trębaczu, co stanowił dziki tak, jak żaden pies dziś nie potrafi. Nie tak to dzisiaj, jak dawniej, co młodzi panowie, z jakiejś tam niemieckiej iglicówki albo z dubeltówki *Lefuszer*, strzelają do przepiórek i wróbli. Trzeba było dobrze skałkę okrzesać, proch świeży na panewkę podspać, aby trafić w łeb, albo w kałdon pod komorę odyciwici

Nieboszczyk dziedzic — świeć Panie nad jego duszą! — to mi zawsze przywoził z Krakowa z Krzemionek, gdzie jakiś czarownik — Twardowski przed wiekami mieszkał, skałki do pojedynki, coś podobno po pięć za grosz. Oj, były to skałki!... Wielmożny panie, za każdym razem, jak cyngiel człek spuścił, to ogień i wystrzał pewny, jak orzech zgryzł — jakby tam tego ognia w kawałeczku krzemienia więcej było, jak we wszystkich kapiszonach, zapalkach i wszelakich dzisiejszych wymysłach, co się psu na budę nie zdadzą. Zapalają wszyscy, pszykają za przeproszeniem Wmpana wszyscy, a nie mają czem i do czego. Chuda fara, ksiądz pleban dzwoni. Dawniej człek wziął za krzemień, położył hubkę na nim, palnął krzesiwem raz, dwa, trzy, dmuchnął — i jest ogień! — a dziś W-ny panie! trzęj patykiem o ścianę, jeżeli ci się będzie łaskawy zapalić, a jak się zapali, wachaj smród siarki, co ci kopci pod nosem, dopóki uczciwszy uszy Wmpana, nie kichniesz i nie zgasisz ognia, a pies ci nawet nie powie „na zdrowie,” jak dawniej bywało. Dużoby opowiadać o dawnych czasach Wmpanie, które przeszły i nigdy nie wrócą. Państwo starsi nie długo po sobie pomarli. Wieczny odpoczynek racz im dać Panie!... został się młody pan, objął gospodarstwo i... ożenił się.

Tu stary Jakób machnął ręką, pomilczał chwilę, poprawił na kominku, obtarł ukradkiem cisnącą się do oczu łzę i tak kończył dalej:

— Nowe czasy Wmpanie, nowe chęci — my tam tego starzy zrozumieć nie możemy — ale, może to tak koniecznie być musi, dosyć, że młodemu panu było tu zaciasno. Nie mógł się wyżywić i wystarczyć na utrzymanie domu, chociaż za nieboszczyków nie raz, o! nie raz Wn-panie! bywało tu dosyć gości i przyjaciół bardzo gościnnie podejmowanych w domu, a starszy pan podochociwszy sobie, śpiewał piosenkę, com się jej jak pacierz nauczył:

„Nie tak in illo tempore bywało
Mości Cześniku zacny mój sąsiedzie!
Było dość złota, a wydatków mało,
Piliśmy własny miodek przy obiedzie.”

— Ale ja tu już za długo bałamucę, a Wm-pan z drogi wypocząć musi. Jak Wm-pan pozwoli to jutro do dnia przyjdę, rozpalę ogień i opowiem zanim się dobrze rozwidni, resztę mojej historii.

Zważywszy, że *septem horas dormire, sat est* — poprosiłem starego Jakóba, aby o 5-jej rano przybył do mnie i pożegnałem poczciwego człeka.

Wyszedł — a idąc około okien mojej sypialni, kończył piosnkę, nucąc ją sobie po cichu:

„Teraz z laseczką idzie młodzik blady,
Licznych słabości widać na nim ślady,
A czy to starzec, czy to gołobroda,
Wszystko to kuso, bo dziś taka moda.”

Ponieważ sąsiedzi moi utrzymują, że czasami niezłe wiersze *robię*, dorobiłem więc jeszcze jedną strofkę do stariej piosnki Jakóba:

Dawniej dziewczęta wstawały o świcie,
Były ubrane, skromnie, przyzwoicie;
Dziś śpią w dzień biały, bo hołdują modzie,
A tak opięte, jak staplane w wodzie.

Podumawszy jeszcze chwilę, owinąłem się w kołdrę, przyłożyłem do poduszki... a co się dalej działo, w następującym rozdziale opowiem.

VII.

I w dalszym ciągu, modo polonico
Každy z szlacheica jak może drze łyko.

Obudziłem się po trzecim pianiu koguta, który w Smolicach Wielkich piał regularnie i służył jak stary Jakób, bo i ten punktum o godzinie 5-tėj rano, jak mi zdeklarował się, przybył, ogień na kominku rozniecił i zaczął dalsze opowiadanie:

— Jak mówiłem, młodemu panu było tu zaciasno. Podatki zalegały, nie było z czego żyć; ratował się lasem, który wkrótce zmarnował i wyniszczył; nie było co robić — ogłosił, że chce sprzedać Smolice. Wnet zgraja faktorów z różnych stron świata zaczęła się zwać.

Wm-panie! ja prosty człowiek, bez nauki, ale jabym się nigdy im nie sprzedawał; jest to banda, która aby tylko zysk jaki dla siebie przycapić, najpoczciwszego człeka na szubienicę zaprowadzi, a Chrystusa Pana, gdyby drugi raz na świat przyszedł, nie za trzydzieści, ale za dziesięć srebrników zaprzeda.

Zabrauiąją zebrać nie mającym co jeść biedakom, a nie pakuja na całe życie do kryminału albo nie wieszają faktorów, szulerów, obdzieraczy, lichwiarzy i wszelkich tego rodzaju publicznych złodziei.

Niedawno Wojtek Magiera, biedny komornik, któremu żona i dzieci z głodu umierały na przednówku, a żyły tylko jagodami i grzybami, ukradł pół korca ziemniaków z dołu — poszedł na rok do więzienia, żona i dzieci zmarnowały się, wymarły. Wójt gminy, kazał go związać i odstawić do sądu; a tym złodziejom, co mojego młodego pana okradli, oszukali i do skóry obdarli, i drugiego co po

nim kupił, wprowadzili w największe kłopoty i błoto, porwawszy obydwom ze trzy tysiące rubli — kłaniał się pan wójt do samej ziemi, jakby jakim, Boże odpuść, pocziwym ludziom. Dużoby o tem mówić, bo to takich porządnie ubranych cyganów, dużo się, zanim pan sprzedał, w Smolicach przewinęło.

Krótko mówiąc, przed trzema laty przyjechało najprzód dwóch łapserdaków, dla większej parady ekstrapocztą, a ja tu widzę nieraz jak bogaty, uczciwy, stary kupiec Aron Krakowski, za kupnem zboża jednym koniem jedzie, choć nie było wypadku, aby kto przeciwko niemu choć jedno złe słowo wyrzekł.

Żyd czy chrześcijanin może, jak chce, być pocziwym; ja to wiem Wm-panie i znam nie mało zacnych starozakonnych.

Przyjechali więc pocztą i oświadczyli mojemu panu, że zaraz nazajutrz, strasznie bogaty fabrykant fortepianów, mający śliczną kamienicę, przyjedzie dla zamiany jój na Smolice; że mój pan strasznie dobry interes zrobi, bo córki i matka tego pana, za żadne pieniądze w mieście mieszkać nie chcą i gwałtem rwą się na wieś. Jak się potem dowiedziałem od jednego z tych Judaszów, co się z drągimi pokłócił, to oni tak interes kierowali, że matce i córkom nabili głowy, jakie to straszne zyski z dóbr ciągnąć można, jak to tu kawalerowie czwórkami, strzelając z batów, do panien zajeżdżają, z lokajem w liberyi i herbami na guzikach, jak to w kościele ksiądz będzie paniom kropidło podawał, jak się będą kłópi do samej ziemi jaśnie pani czapkami kłaniali — dość, że je tak otumanili, że nie było co lepszego do roboty, tylko kuć żelazo póki gorące. Naszój pani, tak samo, jak zaczęli przedstawiać jak to ona w mieście, jako właścicielka takiego pałacu będzie paradować, jak się będzie jeszcze więcej po cudacku jak na wsi ubierać, jak ją będą wszyscy jako szlachciankę wysoko uważali, dosyć na tem, że targ ubili.

Pan mój pojechał od św. Jana na właściciela kamienicy, a pan majster fortepianów został dziedzicem dóbr ziemskich Smolice Wielkie, zapłaciwszy za to niespodziewane szczęście, znaczną sumę faktorom, podziękowawszy im najserdeczniej z zapewnieniem wdzięczności, aż do śmierci.

Dla wyłgania większego procentu od faktorowania w sprzedaży, kamienica warta może dwadzieścia, była przyjęta w szacunku sześćdziesiąt tysięcy rubli; Smolice zaś warte może także tyle, tóż samo w takiej cenie przyjęto — dosyć, że pan fortepianista jeszcze tam coś mojemu panu dopłacił, co prawie na przeprowadzenie wystarczyło; resztę wzięli faktorzy.

Niedługo zmieniło się wszystko. Pan mój nie mając sobie z długami dać rady na kamienicy, której dochody na najlichsze utrzymanie wystarczyć nie mogły, nie mając żadnego zatrudnienia w mieście, przez tych samych faktorów, dawszy im duże wynagrodzenie, zamienił się na jakąś tam koloniję, w której za samą kapustę ma mieć dochodu 1500 rubli sr., a za letnie mieszkania drugie tyle; pani zaś za indyki i gęsi 800 r. sr. Tak mi tu jeden z przybyłych faktorów powiedział; jeżeli to prawda — byłoby nie złe — ale bardzo wątpliwe.

Nowy dziedzic Smolic, który tak świetnie we śnie marzył, poznawszy na jawie czem gospodarstwo na wsi pachnie, przygnębiony napadami wierzyteli, komorników, sekwestраторów i tym podobnych *smoków*, zawezwał także tych samych faktorów, którzy natychmiast sprowadzili bardzo bogatego wyelegantowanego dziedzica, niemającego ani dychacza w kieszeni, pajaca udającego kapitalistę, poprostu uczciwszy uszy Wm-pana, posługacza swego, za pomocą którego łatwowiernych oszukiwali. Ten, dawszy panu fabrykantowi fortepianów włożone mu w ła-

pę przez faktorów, na przeprowadzenie się napowrót do miasta 500 r. sr., zapewnił mu jeszcze 6,000 r. sr. na hypotece, które jak nasz ksiądz proboszcz utrzymuje, odbierze „jak rak świśnie, a djabeł nogę złamie.”

Przybyły nowo-nabywca, elegant, po prostu za przeproszeniem Wm-pana tłuczybruk miastowy, co się podobno w mieście do tańcowania najmował, wysiadłszy z bryki wszedł na parkan, przyjrzał się Smolicom przez szkiełko powieszzone na sznurku na nosie, zostawił na swoje miejsce jako plenipotentą jednego faktora — odjechał i już go też oko ludzkie nie widziało.

Pan plenipotent chcąc odebrać z powrotem 500 r. sr. zadatku dane na Smolice, wszystko co tylko było wymiścił — siano, słomę i plewy, porządki gospodarskie, jakie tam były, koni kilka, krów i owiec co było, nawet parkany i płoty, sadzonki około dróg na opał sprzedał, a zebrawszy za to wszystko z 1000 r. sr., zarobiwszy drugie tyle, odjechał na cztery wiatry, nie zostawiwszy nic na gruncie, tylko mnie, niezapłaconą za służbę dziewczkę — i biednego psa, który się tu jeszcze po podwórzu włóczy.

Na tem zakończył stary Jakób swoje opowiadanie. Jak było można czynności dopełniłem i stan dóbr władzy mojej przedstawiłem. Wicek zajechał i ruszyliśmy dalej.

Każdy pewno postąpi według praw sumienia,
Jeżeli będzie deptał kółko przeznaczenia,
Gdy nie może postąpić, jak za króla Sasa
To pan na swoich śmieciach niech przyciągnie pasa.
A pani mając kłopot i biedę na względzie,
Zamiast patrzeć w żurnale — niech sadi, niech przedzie —
A pewno będzie lepiej. Rączcie poprobować
I tylko trochę życie *zdyjogenesować*.
Będziemy w krótkim czasie szczęśliwsiymi wreszcie,
Szlachta na roli przodków, fabrykanci w mieście.
Prawda, że czasy ciężkie — każdy to powiada;
Ale nie ten człowiekiem, co w trosce upada,
Ale ten, co choć w ciężkiej, przykrój życia porze,
Świątą ziemię pradiadów, ze łąą pługiem orze,
A co mu zostawili ojciec albo matka,
Z pracą, wiarą, nadzieją, broni do ostatka. (*)

(*) Opisując dobra Smolice Wielkie, bez żadnej przesady, zjąłem obrazek prosto z natury; zmieniłem tylko nazwisko dóbr, które dziś jeszcze do siebie przyjąć nie mogą, a nowy dziedzic, który je od Towarzystwa Kredytowego kupił, nie wiem kiedy koniec z końcem zwiąże; przy usilnej jednak jego pracy — jest w Bogu nadzieja.

(Przyp. autora.)

VIII.

A tak ostro z mównicy rozprawiał i szumił,
Ze nie tylko słuchacze — sam się nie rozumiał.

Obejrawszy się jeszcze raz na ruiny dóbr ziemskich Smolice Wielkie, po dość nudnej podróży, przybyłem do dóbr Smolice Małe, będących własnością pana Ignacego, zwanego w okolicy Demostenesem, z tego powodu, że tak on, jak i cała jego rodzina, a nawet służący, jakby się w korcu maku szukali, koniecznie jednej litery z alfabetu każdy z nich dobrze i właściwie nie wymawiał.

Przestrzeń dwumilowa oddzielała Smolice Małe, od Smolic Wielkich. Zjechawszy na grunt, jak powiedziałem, w godzinach popołudniowych, zastałem wszystkich państwa przy kawie; pan Ignacy wypadł na moje przyjęcie i przywitanie przed ganek dworu i powitał mnie z całą serdecznością i gościnnością.

— Spodziewałem się uaskawego Delegata i wuaśnie przygotowałem należność, aby ją przesnać w obecności jego umyślnym posuańcem.

— Bardzo dziękuję szanownemu panu, zwłaszcza, że mając bardzo pilne interesy, będę mógł zaraz udać się w dalszą drogę.

-- Byrabym bardzo szczęśliwa, gdyby raskawy pan zabawir u nas družej — dodała pani domu.

— Rekomenduję uaskawemu panu córkę moją Ucię — i pannę Maugorzatę, uaskawą na nas nauczycielkę Berlinkę z Wrocuawia.

Skloniłem się nisko — pani domu z córką i guwernantką, wyszły — pozostał tylko pan Ignacy i służący Paweł, sprzątający od kawy nakrycie i filiżanki.

— Paweł!

— P — słucham — p — wielmożnego pana!

— Idź po karbowego Ukasza, aby przyszedł.

Zanim przyszedł karbowy Łukasz, dla lepszego zrozumienia tego rozdziału ramoty mojej, muszę objaśnić szanownych czytelników jak następuje:

1. Pan Ignacy, nie wymawiał litery ł.

2. Pani Ignacowa zamiast ł wymawiała r.

3. Córka Łucyja zamiast k mówiła t.

4. Guwernantka Berlinka za g gadała i — jak wszyscy berlińczycy.

5. Mały syn państwa Ignacostwa, Karolek, po ojcu nie wymawiał ł, po siostrze zamiast k mówił t — a po babce zamiast g mówił d.

6. Łukasz karbowy zamiast w mówił f.

7. Paweł lokaj, jakający się okrutnie, przed każdym wyrazem dodawał krzywiąc się strasznie literę p.

8. Kasia pokojówka zamiast ł wymawiała r — tak jak sama pani.

Łukasz karbowy nadszedł.

— Co fielmożny pan rozkaże?

— Czy jest posuaniec do Dyrekcyi Szczeguowój?

— Jest — Falenty Fruk.

— Trzeba go zaraz posuać jak ci powiadałem.

Karbowy wyszedł — Paweł wniósł butelkę wina i bakalije — pani, córka i guwernantka przybyły także. Zaczęła się rozmowa potoczna — przyszedliśmy do edukacyi domowej — rozmowa się ożywiła — usłyszałem zupełnie zadawalniające

zдание obojga rodziców, o zdolnościach p. Margeritty Berlinki z Wrocławia, a wielką naganę na poprzednią nauczycielkę polkę p. Łapińską. Pani domu rzekła:

— O! już to panna Rapińska do niczego nie była zdatną!

— Nie Rapińska tylko Uapińska — poprawił pan Ignacy.

— Panna Łapińska — przerwała córka, widząc że się na sprzeczkę zanosi — nie znała zupełnie języków i muzyki.

— Herr Joti! — dodała guwernantka — Sie hat das Freilein jar nichts jelehrt — man hat ihr das Jelt umsonst jejeben.

Osądzwszy jak najsurowiej pannę Łapińską, zebrany areopag, objaśnił mnie o sposobie edukacji, jaką p. Margeritta zaaklimatyzowała w Smolicach Małych, biorąc za główną podstawę, jak się to w całej Europie ma niby praktykować, obce języki i muzykę.

Gdyby nie ta zbakierowana i głupia metoda, byłbym był rozdziału tego w „Wędrówkach” nie napisał, bo z śmiesznościami nie z winy ludzkiej pochodzących szydzić nie lubię; ale owa edukacja i panna Margeritta z swoim: Ejne jebratene Jans, ist ejne jute Jabe Jottes — do pasy mnie przyprowadziły.

— A po polsku kto panią uczy? — zapytałem panny Łucyi.

— Wuj mój z Tratowa, tapitan Tulitowski, taże mi się uczyć i przysyła mi tsiążti polstie i różne wierszyti.

— Cóż panie czytają tak dla rozrywki?

— Teraz taże mi czyta panna Margeritta powieść Pawła de Tota — „Pan Toblant szuta swojej żony.

— Ładna powiastka — dodałem kręcąc nosem, — a cóż polskiego?

— Zadeklamujno Ucuś co z tego, co ci wujaszek przysyua, uaskawemu Delegatowi.

— Może Nurta Szyllera, tłumaczenie Tamińskiego? zapytała p. Lucyja.

— Dobrze — bardzo uadne — rzekł ojciec.

Panna Lucyja powstała, a wsparłszy się jedną ręką o fortepian, zaczęła operacyję deklamacyi. Z początku szło jako tako — ale gdy przysła do słów:

I wre i tipi, i szumi, i prista,

Spienione fale pod obłoti cista,

o mały włos nie parsknąłem śmiechem — nadobitkę jeszcze wszedł braciszek panny Łucyi z głuchoniemą piastunką, mały Karolek.

— Taroltu! Taroltu! powiedz no bajeczkę p. Delegatowi — rzekła p. Lucyja. Chłopczyzna stanął na środku pokoju, obtarł nos rękawem — podparł boków i palną bajkę Jachowicza:

TODUTET.

Piau Toducit Tuturitu!

Wstawaj rano mój chłopczytu!

Wypiłem duszkiem trzeci czy czwarty kieliszek węgryzna, a tłumacząc się ąrdzo pilnym interesem, nie mogąc w żaden sposób dłużej wytrzymać, poprosiłem aby Wicek zajechał.

— Tasiu! czyś tazała zaprzęgać Wictowi? — zapytała pokojówki p. Lucyja.

— Posłałam tam Pawra!... wyrzekła Kasia wymawiająca zamiast ł — r, ale

jak wyrzekła?!... tego ... napisać nie mogę — Wicek zajechał, pożegnał państwa Demostenesów — wszyscy przy pożegnaniu wyszli przed ganek.

— Niech uaskawy Delegat o nas pamięta!

— Prosimy raskawego pana!

— Tat! Tat! prosimy!

— Jehorsame Dienerin — verjessen Sie mein nicht.

— Ficek, Fielmożny panie, ma fydany obrok na popas!

Paweł dostawszy złotówkę dokończył:

— P -- dziękuję -- p -- wielmożnemu panu!

I pojechałem do Starój wsi o milę odległej, na dalszą czynność, o czem w rozdziale następującym.

IX.

Oto mój dom ubogi, też lepione ściany.

Te okna różnobarbne, piec nie-polewany.

Na sam wieczór przybyłem do Starój wsi, do pana Starowiejskiego, którego zastałem z rodziną zebraną na wieczorny posiłek, w skromnym jego dworku.

Przyjęty serdecznie, zasiadłem do kolacy i herbaty, które już były na stole; — posadzono mnie obok gospodyni domu, a z boku siedziały przy stole dwie córeczki gospodarza i panna Łapińska nauczycielka, ta sama, którą tak strasznie w Smolicach małych skrytykowano.

— Zkąd delegat dobrodziej przybywa? — zapytał mnie gospodarz.

— Ze Smolic małych — odrzekłem.

— I cóż tam słyhać

— Nic tak bardzo złego ani nic dobrego.

— Jak to? nie zapłacił rat?

— Zapłacił — ale zdaje mi się, że niepotrzebnie płaci pannie Margericie Berlince z Wrocławia, bo szkoda czasu i atlasu.

— Jak Boga kocham — prawda! to samo mu mówiłem, ale go nikt nie przekona; niezadowolniony z p. Łapińskiej, którą panu Delegatowi przedstawiam, jako nauczycielkę moich córek, a którą już dawno na kierowniczkę ich edukacji uprosić pragnąłem, uwolnił ją na moje wielkie szczęście od obowiązków, a sam sprowadził ową Margeritę, czy jak się tam nazywa, która mu wszystko do góry nogami przewraca. Z poczciwej Łucusi, co ją do chrztu trzymałem, zrobił z pewnością niemieckie ciele, ani do Boga, ani do ludzi niepodobne.

Uściskałem serdecznie poczciwego szlachcica, dzielając w zupełności jego zdanie. Bawiąc w Starej wsi dwa dni, bo mnie po załatwieniu czynności w żaden sposób puścić nie chciano z staropolskiego gościnnego domu, przekonałem się, że tu zachwiana pomyślność ciężkimi czasami bezwarunkowo powrócić musi, że gniazdo takie, jak starego, pracowitego i poczciwego Starej wsi dziedzica, rozwalić się nie da, że na zagony od pradziadów wzięte w spuściznie. niemca nie puści, bo ziemia, która go żywi, i prawnuków jego wzywać może, ale tylko przy przyciągniętych rozsądnie pasie, z cierpliwością oczekując lepszych czasów, które z pewnością wiara, oszczędność i praca sprowadzą.

A cóż to za znakomita metoda edukacji panienek, wprowadzona przez p. Łapińską! nic tu nie brakuje; ani serdecznego poświęcenia nauczycielki, ani szczerą chęci młodych dziewcząt, które przeczuwają z rozkładu nauk wschodzącą dla nich właściwą jutrzeńkę, zakrytą niegdyś chmurami niewłaściwych starych nałogów nierozsądku, głupoty i mody.

O! mój Boże kochany — gdyby tak przed wiekiem
Człowiek pragnący szczęścia, chciał być być człowiekiem,
Ileżby to nie było dziadów, ojców, matek,
Szczęśliwych powodzeniem, prawnuków i dziątek,
Co depcząc uśmiechnięci kółko przeznaczenia,
Daliby im swe serca, spokojne sumienia,
W nagrodę rad i nauk — a pod ojców strzechę,
Wnieśli wdzięczni rodzinie radość i pociechę.

Czynność moją, jak powiedziałem w Starej wsi skończyłem prędko, bo fundusze zebrane starannością i pod każdym względem wzorowem gospodarstwem, dawały zupełną pewność zaspokojenia wszelkich zaległości, jakie na dobrach ciążyły.

Pożegnałem się z całą rodziną serdecznie i z panną Łapińską, której życzę jak najpomyślniejszego powodzenia, w trudnym, ale najszlachetniejszym ze wszystkich, zawodzie nauczycielki.

Zacna ta pani prosiła mnie przed odjazdem o napisanie jój jakiego wierszyka:

Napisałem słów kilka z największą ochotą,
Zrobiłem przedstawienie, że nie idzie o to,
By dziewczę postępując nowomodnym szykiem,
Miało zostać rotmistrzem, albo półkownikiem,
Kapitanem okrętu, lub tambormażorem,
Albo nawet medykiem -- bo z damą - doktorem,
Nigdy bym się nie żenił — mało co ten czuje,
Kto serce ludzkie kraje i egzenteruje,
Wszelkie piłki, nożyce, noże i lancety,
Dalibóg nie pasują do ręki kobiety —
Rączka to do jałmużny, dawanęj z szczerodrotą,
Do pogłaskania dzieci, gdy celują cnotą,
Do wskazania im drogi, którą, wbrew złym losom,
Z nauką i modlitwą — zdążą ku niebiosom.

X.

Opuściłem Starą wieś przed wieczorem, udając się na noc do miasteczka, celem ruszenia w dalszą podróż nazajutrz, jak będzie można najwcześniej.

Trafiłem na dzień jarmarczny. Kilkudziesiąt włościan i włościanek dobięło jeszcze targu o garnki, cebrzyki, konewki, skopki i tym podobne rekwizyty, po które niejedna bogulicha kobiecina szarga się po błocie dwie mile i wraca dwie mile do chłupy z dwoma skorupami, daj Boże jeżeli trzeźwo — jakby po-

dobnych sprawunków nie mogła dostać przynajmniej w jednym małym sklepiku założonym w parafii, któryby przecie zysk jaki taki założycielowi uczynił.

Rozgościwszy się w jednej jaka tu była austeryi w izbie szynkownej, zastałem jeszcze kilku włościan, dobijających targu i dopijających reszty.

— A kaj wielmozny pon jadą?

— Do Sledzina.

— Cy do dworu? bo jo furnol ze Śledzina.

— Chwała Bogu — jak ci na imię?

— Juści Jacek.

Napisałem ółówkiem kartkę do dziedzica, pana Józefa, szkolnego mojego kolegi, donosząc, że tam jutro przed południem przybędę, prosząc aby był w domu.

— Prędko pójdziesz do domu Jacek?

— Wocyminiu! — zaraz idę i oddom pismo.

Poszedłem do gościnnej izby, gdzie Wicek rozpinął tłómk. Oświadczył mi smutną wiadomość, że bułanemu noga bardzo spuchła i trzeba z nim do domu prędko wracać, — nie myśląc więc długo, poleciłem mu przyszykować się wczas do powrotu — z zamiarem najęcia furmanki dla odbycia dalszej podróży.

Żona moja, kiedym wyjeżdżał w drogę, dała mi notatkę do miasteczka, abym kupił mąki pszennej najpiękniejszej, dużą ćwiartkę cielęciny na szynkę, śledzi, świec, mydła i innych drobnych ingrediencyj; załatwiwszy więc owe sprawunki zapakowawszy je jak najlepiej, napisałem list do żony, poleciwszy Wickowi, aby bardzo rano zabrał się i pomatu jadąc do domu wrócił, wzięwszy z sobą balamucącego się w drodze wyżła Bekasa.

Nazajutrz rano, najętą furmanką, powożony przez żydka Icka, który mi strasznie mizerne siedzenie wyrzchtował, grziłem do Sledzina o półtory mili odległego, parą rumaków, z których jeden ciągle chciał galopować, a drugi w żaden sposób ruszać się nie chciał. Podług izraelskiego zwyczaju pod górę siedzieliśmy na wozie, z góry zsiadali, bo tylko był jeden naszelnik z postronka, a Icyk zastępował drugi, przytrzymując za dyszel brykę i waląc leniwego po łbie batein, aby trzymał.

Za trzy godziny pokazał mi się Śledzin, a ponieważ na drodze most był zepsuty, musieliśmy objeżdżać do dworu około stodół i ogrodu. Zbliżając się ku ogrodowi, usłyszeliśmy krzyk:

— Trzymaj!... łapaj!... nie daj!...

Icyk stanął — podniosłem się na bryce i spostrzegłem w ogrodzie pana Józefa, panią Józefową z otwartą parasolką i kilka dziewczek i parobków pędzących przez ogród.

— Ny!... Wielmozny panie... co to jest?... chitają złodzieja!... rzekł Icyk.

Podburzony temi słowami przez Icka, chcąc się przysłużyć państwu Józefowstwu, wyskoczyłem z bryki, zrzuciłem burkę i przyczaiłem się pod drzewem, Icyk także stanął na bryce, rydelek od kaszkieta podniósł w górę, otworzył gębę i obserwowwał uważnie co się stanie.

Masa kur, kapłonów i kogutów, przelatywała przez płot, przestraszona widąc strasznym atakiem ścigających złodzieja; krzyk „trzymaj! łapaj! nie daj!...” grzmiał ciągle, — w krótkce płot zatrzęszczał... przez niego z gołą głową, zdy-

szany chłopak, chciał się żywo przeszwarcować, lecz straciwszy równowagę, padł na ziemię, z której się już nie podniósł, bom go przysiadł jak konia na siodle i chwycił obiema rękami silnie za łeb... zawoławszy na całe gardło:

— Jest!!!...

— A żeby cie jasne ogniste wcierności!... Kto mnie tak gniecie i rwie za łeb!... wołał chłopak.

— A szelmo! łotrze! złodzieju! — odpowiadałem mu przyciskając jeszcze silniej świsnącego nogami wisusa.

Icyk czy z obawy, żeby mi winowajca nie wykręcił się, czy też z zazdrości, ragnąc mi wydrzczyć palmę zwycięstwa i za to dostać od pana Józefa nagrodę, yciągnął powróż podtrzymujący siedzenie mojego ekwipażu i nim chociaż z trunością związał nogi winowajcy.

— Niech wielmożny pon teros jus go puści, jus on nie ucieknie, jus ja jego obze psysyma!; byłby wielmożny pon nie mu nie radził, żeby nie jo.

Uwolnilem z pod siebie związanego złodzieja, a zmęczony szamotaniem owstawszy, spostrzegłem przy sobie pana Józefa, panią Józefową i kilka dziewczynek, których jedna trzymała pod pachą tęgiego kapłona.

— Jak się masz Delegacie! — zawołał ściskając mnie pan Józef — cóż ci to awinił mój poczciwy Michałek pokojowiec, żeś go tak strasznie poturbował?

Opowiedziałem całą aferę p. Józefowi, wrażenie jakiego doznałem usłyszawszy krzyki przy ściganiu złodzieja, dobre chęci moje i Icyka, na co wszystko pan Józef serdecznym odpowiedział śmiechem, do którego pani Józefowa i dziewczki siedzące w kuczki na ziemi, chihocząc się dopomagały.

Rzecz wyjaśnił, śmiejąc się ciągle p. Józef, w następujący sposób:

— Mój fornał Jacek, wielki amator jarmarków, którego spotkałem kochany Delegacie wczoraj w miasteczku, dziś dopiero o godzinie 10 rano do domu pijaniutenki powrócił i oddał mi od ciebie karteczkę. Ucieszyłem się bardzo, mój stary dziecinnych lat kolego! ale żona moja zmartwiła się, bo oprócz kaczki na rosół zarzniętej, ani kawałka mięsa w domu nie było, a w dodatku Jacek oświadczył, oddając pieniądze dane mu na mięso do miasteczka, żeś ostatnią jaka była ćwiartkę cielęciny zakupił i do domu wysłał; nie było więc innej rady tylko co żywo zrobić polowanie na kapłona w ogrodzie, abyś miał jakie takie pieczyste; poszliśmy wszyscy na ową obławę dla ciebie, Kaśka ma już ofiarę pod pachą, a Michałek mój niewinny — żebyś go był nie zatrzymał, byłby uprzedził Kaśkę i przysłużył się, jak to zwykle robi z wielką ochotą mojej żonie.

Objaśniony zupełnie o całej sprawie, pogłaskałem i przeprosiłem niewinnego Michałka, dawszy mu pół rubla za poturbowanie; Icyk wzięwszy go za ramię rzekł mu po cichu:

— Musisz mi dacz faktorne. Żeby nie jo, tobyś był tak łatwo i prędko pół rubla nie zarobił, jo wszystko wim, jo wiedziol, żeś ty dobry i poczciwy ciek, jo tylko nomyślnie cie zwionzoł, żebyś ty pół róbla zarobił.

Podobno Michałek dał Ickowi faktornego 20 groszy.

Zabawiłem w Śledzinie do drugiego dnia, a załatwiwszy w krótkce interes, końmi kochałego kolegi odesłany zostałem do domu, bo czynność mi powierzoną w zupełności ukończyłem.

Po parotygodniowej nieobecności ujrzałem ubogą chatę moją, zastałem rodzinę zdrową, oczekującą mnie z upragnieniem, ale pomimo tego, otrzymałem od małżonki surowe napomnienie, bo Bekas (nie wiem co mu się stało) zjadł cielęcinę przez drogę. Wicek gapa mąkę nie dobrze przykrył i zamoczył, śledzie, herbatę i ryż związawszy razem, zrobił z tego taki bigos, że go się nikt chwycić nie chciał. Spuściłem nos na kwintę, straciłem humor i dlatego ramota moja, którą wam kochani czytelnicy ofiaruję, nie jest taką, jaką mieć chciałem.

Z tego się wyprowadza wniosek oczywisty,
Że żona musi grzeczną być dla humorysty,
Bo jak swoją robotę nie dobrze wykona,
To nie on będzie winien, tylko jego żona.

K o n i e c

Zeszytu II i Tomu pierwszego.



INSTITUT
BADAŃ LITERACYJNYCH I FOLKLOROWYCH
BIBLIOTEKA
00-230 Warszawa, ul. Nowy Świat 71
Tel. 25-68-04

Spis artykułów

W TOMIE PIERWSZYM.

	<i>Str.</i>
1. Jubileusz — (Kraszewski).	7.
2. Wojna Owadów (Waga)	13.
3. Wielka Defilada żab. (Wójcicki).	23.
4. Wielki Koncert zwierzyny (Ks. Klemensiewicz)	26.
5. Djabeł Boruta w Potoku Złotym (Kostrzewski)	30.
6. Napad Tatarów	38.
7. Pospolite ruszenie wszelkiego rodzaju stworzeń i elementów przeciwko szlachcicowi wiejskiemu	42.
8. Obrona Bobolickiego Zamku	57.
9. Kilka małych parafialnych grzechów	66.
0. Jeszcze jeden mały parafialny grzeszek	69.
1. Zima i Moda	73.
2. Gawędy starego Rolnika (Rozdziałów 18)	77.
3. Kalendarz powszechny	125.
4. Siedm głównych parafialnych grzechów	158.
5. Wieś i Kamienica	171.
6. Skarga psów	182.
7. Zaklęte skarby.	184.
3. Konkurs na Karnawał	188.
9. Rozbójnicy Salonowi.	191.
0. Gderanie i Polowanie	193.
1. Kazanie w Imieniny proboszcza	196.
2. Dwaj Złodzieje.	200.
3. Jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie	204.
4. Wspomnienia z Wędrówki Delegata na około kilku parafii (Rozdziałów 10).	207.

Koniec Tomu I-go.



F

3347

II